

DETEKTYW

TYLKO HISTORIE PŁOZWIWE

6

346

ŻYCIE
NA
CZTERDZIEŚCI
PROCENT



TYCER

POTRÓJNA ZBRODNIA NA STARÓWCE



Monika Frączak	
Wróżba z paragonem – Od redakcji	2
Leon Madejski	
Potrójna zbrodnia na Starówce – Rosyjski zabójca	3
Tomasz Łukaszewicz	
Surogatka – Głupota nie boli	12
Sławomir Kosmala	
Życie na czterdzieści procent – Piękna śmierć	16
Roman Baszkiewicz	
Oszustka z małego miasteczka – Dziewczyna z sąsiedztwa	22
Mirostów Kotala	
Urzędnicze pozycie – Urodziwa łapówka	28
Z kraju i ze świata – Rozrywka z Temidą	32
Anna Jagodzińska	
W drodze do szkoły – Fatum?	34
Stefan Kotkowski	
Brak ciała – Sprawa nierozwiązana	40
Jerzy Blaszyński	
Odszkodowanie – Cwaniaczek	44
Dariusz Gizak	
Tycer – Bandycki wywiad	48
Tadeusz Wójciak	
Kobieta fatalna – Urażona niewinność	54
Krzyżówka z paragrafem	63
Zazdrosna rywalka – Zagadka kryminalna	64

Wróżba z paragonem

Mamy XXI wiek i wydawałoby się, że jesteśmy bardziej wykształceni i świadomi. Jednak mimo to, wiele osób chętnie korzysta z usług wrózek. Jak wysoki może być to procent, świadczy szeroki wachlarz tego typu usług i „specjalistek” dostępnych na rynku. Wystarczy wpisać hasło w internecie, a pojawia nam się wiele możliwości. Przepowiadanie przyszłości odbywa się najczęściej przy pomocy kart, ale nie trzeba osobiście się fatygować (choć ta metoda, jest ponoć najlepsza, ale i najdroższa – koszt nawet około 200 zł), można wysłać maila, SMS-a, skontaktować się za pomocą jednego z wielu komunikatorów internetowych, czy po prostu zadzwonić. Cena usługi zależy od ilości pytań, a przede wszystkim od indywidualnego cennika. Okazuje się, że swoją przyszłość możemy już znać nawet za 25 zł! Fora internetowe aż kipią od opinii na temat kabalarek. Korzystające z nich osoby wymieniają się doświadczeniami, robią rankingi jakości. Jednak często można odnieść wrażenie, że same zainteresowane pracownicy się promują, podszywając się pod klientki. Zasada jest prosta, im więcej dobrych opinii, tym większe zainteresowanie i tym większe pieniądze. Nieopodatkowane.

A co na to Ministerstwo Finansów? Na razie nic, chociaż już 10 lat temu, urzędnicy zastanawiali się, jakie są możliwości objęcia wrózek obowiązkiem posiadania kas fiskalnych. Teraz tą sprawą postanowiły zająć się władze Kazimierza Dolnego (widząc, jak dużym zainteresowaniem na rynku cieszą się krążące wśród turystów wróżbitki) i wystosowały list do urzędu skarbowego, aby opodatkować pracę kabalarek tak, jak każdą usługę. Na taki pomysł nie chcą przystać same zainteresowane (najczęściej pochodzenia romskiego). Zdaniem oburzonych kobiet, chodzenie z kasą byłoby uciążliwe, niepraktyczne i mało wiarygodne.

Jeśli taki pomysł wszedłby w życie, ciekawe czy można będzie, oczywiście po okazaniu paragonu, reklamować usługę? ■

Monika Frączak

WYDAWCA

Przedsiębiorstwo
Wydawnicze
Rzeczpospolita SA

Al. Jerozolimskie 107
02-011 Warszawa
Tel.: (22) 429 24 00
www.pwrsa.pl

ADRES REDAKCJI

Al. Jerozolimskie 107
02-011 Warszawa

SEKRETARIAT REDAKCJI

Tel.: (22) 429 24 50
www.e-detektyw.pl e-mail: detektyw@pwrsa.pl

REDAKTOR NACZELNY

Adam Kościelniak: adam.koscielniak@pwrsa.pl

ZASTĘPCA RED. NACZ.

SEKRETARZ REDAKCJI

Krzysztof Kilijanek: krzysztof.kilijanek@pwrsa.pl

REDAKTORZY

Monika Frączak: monika.fraczak@pwrsa.pl
Ewa Lewandowska: ewa.lewandowska@pwrsa.pl
Magdalena Gawlikowska: magdalena.gawlikowska@pwrsa.pl

ILUSTRACJE

Jacek Rupiński

SKŁAD I ŁAMANIE

AKA PITT, Jakub Nikodem: jakub.nikodem@pwrsa.pl

KOLPORTAŻ ZAGRANICZNY:

USA: „EXLIBRIS” – 5708 W. Belmont Ave. Chicago, IL. 60634
Tel.: 773/725-2005 Fax: 773/725-7392 Biuro w Warszawie,
ul. Dęblńska 13

REKLAMA

Tel.: (22) 429 24 00

Prenumerata: koszt 1 egzemplarza – 3,20 zł.
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Eventualne pytania prosimy kierować pod adresem e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00 – 17.00.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

DRUK

Drukarnia ODDI Poland Sp. z o.o.
ul. Kościelna 91, 26-800 Białobrzegi
Nakład: 210 010 egz.
Oddano do druku: 04.05.2015 r.

Wydawca miesięcznika „Detektyw” ostrzega, że bezumowna sprzedaż aktualnych i archiwalnych numerów miesięcznika po innej cenie niż ustalona przez Wydawcę jest działaniem nielegalnym i skutkuje odpowiedzialnością karną. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo redagowania i zmiany tekstów. Kopiowanie i rozpowszechnianie publikowanych materiałów wymaga pisemnej zgody Wydawcy. Wydawca nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

© Copyright by
„Detektyw”



DETEKTYW

Potrójna zbrodnia

Leon MADEJSKI

na Starówce



Ulica Długa w Gdańsku to jedna z najbardziej prestiżowych lokalizacji w stolicy Pomorza. Jej naturalnym przedłużeniem jest Długi Targ, z którym wspomniana ulica tworzy tzw. Drogę Królewską. Kamienice w tej okolicy są typowymi domami gdańskimi o wąskich fasadach zwieńczonych szczytami bądź attykami, bogato zdobionych herbami i postaciami antycznych bohaterów. Przez kilka stuleci mieszkali tu najbogatsi mieszczanie, kupcy i ludzie piastujący wysokie urzędy, zresztą i dzisiaj okolica ta cieszy się doskonałą renomą. Niemal każda kamienica ma swoją własną, ciekawą historię, do której współczesność dopisuje kolejne rozdziały.

Tak właśnie jest w przypadku nieruchomości, w której przed dwoma laty – w marcu 2013 roku – doszło do okrutnej, potrójnej zbrodni. Początkowo wszystko wyglądało na robotę profesjonalistów wykonaną na zlecenie, dokładnie zaplanowaną i przeprowadzoną w mafijnym stylu. Śledztwo zweryfikowało te śmiałe tezy, prawda okazała się zupełnie inna. Pomimo sporządzonego niedawno aktu oskarżenia w tej sprawie pozostało jeszcze kilka znaków zapytania.

Potrójne zabójstwo w kamienicy na gdańskiej Starówce odkrył starszy brat zamordowanego Jerzego W. Mężczyzna przez kilkanaście godzin bezskutecznie dzwonił pod numer jego telefonu komórkowego, milczała też „komórka” jego żony. Zaskoczyła go ta sytuacja, bo miał razem z bratem wyjechać do Gdyni w sprawach biznesowych. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by Adam nie zjawił się na umówione spotkanie, był wyjątkowo słownym człowiekiem. To wszystko coraz bardziej go niepokoiło. Może ich malutka córeczka zachorowała i nie mają głowy do odbierania telefonów? – pomyślał... i równocześnie uświadomił sobie, że gdyby małej stało się coś złego, na pewno brat powiadomiłby go o tym. Chcąc się uspokoić i wyjaśnić tę niecodzienną sytuację, pojechał do wynajmowanego przez nich mieszkania w centrum Gdańska.

Pojawił się tam w czwartek, 14 marca 2013 roku, przed godziną szesnastą. Wcisnął dzwonek przy drzwiach wejściowych, raz i drugi, ale nikt nie otwierał. Wyteżył słuch, ale z lokalu nie dochodziły żadne dźwięki. Nacisnął klamkę. O dziwo, drzwi otworzyły się. Wszedł do środka. W uszach dzwięczała mu cisza. Poczł się trochę nieswojo, ale wszedł do środka. To dziwne uczucie, kiedy wchodzi się do znajomego mieszkania, a tam nikogo nie ma. Z kolejnymi krokami serce zaczynało mu mocniej bić. Nagle zobaczył wystające spod stołu ludzkie nogi. Z jednej strony sparaliżował go strach, z drugiej musiał wyjaśnić, co się tu stało. Kolejny krok i wszystko stało się jasne. Na podłodze w niewielkim saloniku leżał Adam, obok niego jego żona. Prostopadle do nich, u ich nóg – kilkunastomiesięczne dziecko. Cała trójka miała zmasakrowane twarze, na ciałach i na podłodze widać było zakrzepniętą krew. Nie miał wątpliwości, że wszyscy zostali zamordowani. Trzęsącymi rękoma wystukał numer 112 i powiadomił o makabrycznym znalezisku.

Trzeba wyobrazić sobie szok mieszkańców kamienicy przy ulicy Długiej na wieść o potrójnym zabójstwie. Denaci z większością z nich znali się tylko z widzenia, niemniej zostali zapamiętani w samych superlatywach. – *Zawsze byli uprzejmi, witali się, on chodził z dzieckiem na spacer, nosił maleństwo na rękach. Chociaż czas mijał, cały czas wyglądali na zakochanych i nie mogli bez siebie wytrzymać. Widać było, jak obydwójce cieszyli się z tego małego dzieciaczka! To straszna i niewyobrażalna tragedia, zabójstwo, jakiego Gdańsk nie pamięta od wielu lat...*

Para zamordowanych mieszkała tutaj od kilku lat. Ostatnio remontowali mieszkanie w centrum Gdańska, planowali się tam przenieść najwcześniej za kilka miesięcy. Nigdy nie zrealizowali tych planów. Z pierwszych ustaleń śledczych wynikało, że ofiary prowadziły zwykłe, spokojne życie. Prawie jak mieszkający tutaj przez kilka stule-

ci zasobni gdańscy mieszczenie. – Widywałem pana Jerzego praktycznie codziennie rano, często z dzieckiem – wspominał właściciel pobliskiego sklepu spożywczego. – Przychodził do mnie, ostatnio śmialiśmy się, że się uzależnił od zakupów u mnie. W kontakcie uprzejmy i kulturalny. Dla mnie to, co się stało, to absolutny szok. Trudno mi to wszystko ogarnąć, szczególnie śmierć tej małej dziewczynki.

W początkowym etapie śledztwa przyjęto dwie hipotezy: bądź porachunki na tle kolekcjonowania militariów, bądź rabunek. W mieszkaniu zamordowanych panował nieporządek, widać było szklane witryny z pootwieranymi drzwiami, co mogło sugerować, że sprawca opuścił lokal ze zrabowanymi przedmiotami. Z mieszkania zginęło kilka egzemplarzy zabytkowych militariów, których rynkową wartość oszacowano na kilkanaście tysięcy złotych. Z drugiej strony niewyobrażalne się wydawało, by egzekucji na trzysobowej rodzinie dokonano jedynie dla tego łupu.

★ ★ ★

Zatrzymanie podejrzanego o popełnienie potrójnego zabójstwa okazało się prostsze, niż to się początkowo wydawało. W mieszkaniu przy ulicy Długiej pozostał telefon zamordowanego. Zabójca może o nim zapomniał, może nie był nim zainteresowany... natomiast zabrał stamtąd telefon jego żony. Śledczy zaczęli analizować billing prowadzonych przez niego rozmów. Ostatnie połączenie wykonał człowiek zapisany w książce telefonicznej aparatu jako „IWAN”. – *To pewnie Rosjanin, z którym ostatnio prowadził jakieś interesy* – stwierdziła rodzina zamordowanego. Wprawdzie nie udało się tego rozwikłać, niemniej w piątkowy rano do sieci zalogował się telefon pani Iwony.

Nieznanym jeszcze człowiekiem dzwonił do mieszkanicy Elbląga, pod numer abonamentowy, dzięki czemu nie było problemów z ustaleniem jej miejsca pobytu. Kilka godzin później śledczy byli w jej mieszkaniu. Z rozmowy dowiedzieli się, że rozmawiała z Iwanem R., Rosjaninem wynajmującym mieszkanie w tym samym mieście. Podała jego adres. Zaczęła się walka z czasem, bo policjanci podejrzewali, że człowiek podejrzewany o zabójstwo w Gdańsku może próbować uciec z Polski. Kilkanaście godzin pracy operacyjnej, współpraca z operatorami sieci komórkowej, analiza monitoringu miejskiego z centrum Gdańska nie poszły jednak na marne. W piątkowy wieczór udało się zatrzymać Iwana R., podejrzewanego o potrójne zabójstwo. Z jednej strony był to olbrzymi sukces, z drugiej – początek kolejnego etapu prac związanych z udowodnieniem mu potwornej zbrodni i zrozumieniem jej powodów...

Będziemy weryfikowali różne hipotezy

Zatrzymanie Iwana R. nie zmniejszyło plotek i domysłów. O tym, że nie wszystko w tej sprawie jest jasne, można się było domyślać po oświadczeniu rzeczniczki gdańskiej prokuratury, złożonym kilka dni po zbrodni: – *Na chwilę obecną najbardziej prawdopodobny jest motyw rabunkowy. Prokuratorzy zgodnie z taktyką prowadzonych śledztw przyjmują kilka hipotez popełnienia przestępstwa. W toku trwania śledztwa hipotezy te są weryfikowane. Nie możemy ujawnić ich treści...*

Bezpośrednio po zabójstwie w Gdańsku pojawiły się plotki, iż trzydziestolatekowie i ich dziecko padli ofiarą szaleńca, który dokonał na nich jakiegoś makabrycznego rytuału. Miało o tym świadczyć dziwne ułożenie ciał, które policjanci zauważyli po wkroczeniu do mieszkania. Czym miał być spowodowany ów tajemniczy rytuał, plotka jednak nie wyjaśniała!

Oficjalna wersja organów ścigania mówiła wprawdzie o rabunku, ale dla wielu osób ta hipoteza była mało przekonująca. Bo jeśli rzeczywiście zabójcy zależało na zgromadzonych przez Jerzego W. militariach, to dlaczego przestępca nie zabrał kilku tysięcy złotych z kieszeni spodni denata. Przecież nikt nie sponosił bandyty, zaś bardzo dokładne oględziny mieszkania przy ulicy Długiej niedwuznacznie sugerowały, że sprawca lub sprawcy spędzili w nim dłuższy czas i nie działali w pośpiechu, ponadto pozostawili tam leżącą na wierzchu wartościową biżuterię! Czy ktoś, kto zabija w celach rabunkowych, bierze stare granaty, wojskowe emblematy, używany telefon komórkowy, a zostawia pieniądze i cenną biżuterię? Wątpliwe.

Policjantów zastanawiało również, że zabójca nie zabrał ze sobą leżącego na wierzchu laptopa Jerzego W. Przecież skrywał on wszystkie szczegóły o prowadzonych przez denata operacjach finansowych. Jak opowiadał jeden ze znajomych ofiary: – twardy dysk tego komputera był kopalnią wiedzy o działalności Jerzego W. Zleceniodawcy powinno zależeć, by zniknął on z mieszkania denata, bo zawarta tam wiedza mogła być pomocna policji w wykryciu kręgu ludzi, którym zależało na pozbyciu się gdańskiego handlarza bronią. Jeśli powodem zbrodni były związki zamordowanego mężczyzny z handlarzami nielegalną bronią, to pozostawienie laptopa w mieszkaniu denata było bardzo poważnym błędem.

Powszechne było przekonanie, że osadzony w areszcie Iwan R. był tylko „cynglem” wynajętym do przeprowadzenia egzekucji. Jeśli tak... to kto był zleceniodawcą i komu tak bardzo naraził się Jerzy W., że ktoś wydał na niego wyrok śmierci. Czy śmierć jego żony i kilkunastomiesięcznej córki była wcześniej z zimną krwią zaplanowana, czy



też – z zupełnie nieznanymi albo irracjonalnymi przyczynami – zginęły one zupełnie przypadkowo.

Hipoteza o tym, jakoby Iwan R. był płatnym zabójcą miała jednak kilka słabych stron. Przede wszystkim w oczy rzucał się brak profesjonalizmu w jego działaniu. Jeśli rzeczywiście byłby zawodowcem, to od razu pojawiał się pytanie, dlaczego z gdańskiego mieszkania zabrał łatwe do zidentyfikowania przedmioty, a dzień po dokonaniu zbrodni uruchomił telefon ofiary? Powinien się domyślać, że śledczy będą w kontakcie z operatorem sieci komórkowej i na pewno zostaną o tym błyskawicznie powiadomieni. Przecież załogowana do sieci komórka, trzymana w ręku zabójcy, błyskawicznie doprowadziła śledczych na trop... To był szkolny błąd, za który zapłacił bardzo szybkim zatrzymaniem i zawodowy przestępca na pewno by go nie popełnił! Jeśli Rosjanin rzeczywiście był wynajętym „kilerem”, to dlaczego nie wyjechał za wschodnią granicę (dzięki czemu skutecznie mógłby zatrzeć za sobą ślady), tylko jak gdyby nigdy nic przebywał w swoim mieszkaniu.

Kilka tygodni po marcowym zabójstwie pojawiły się, podchwycone potem przez prasę informacje, jakoby zabójstwo trzyosobowej rodziny zostało zleczone przez służby specjalne zza wschodniej granicy. Z uzyskanych przez dziennikarzy informacji wynikało, że w dniach poprzedzających dramatyczne zdarzenie Iwan R. kilkakrotnie dzwonił do mężczyzny – mieszkańca Kaliningradu, którym od



pewnego czasu interesował się nasz kontrwywiad. Ten człowiek pozostawał w kręgu zainteresowań polskich służb ze względu na jego związki ze służbami specjalnymi Rosji. Ponoć w dniu zabójstwa mężczyzna znajdował się kilkaset metrów od kamienicy przy ulicy Długiej, co potwierdzały dane logowania jego telefonu komórkowego. Czy aby na pewno Iwan R. działał sam? Czy to możliwe, by udało mu się dokonać egzekucji trzysobowej rodziny w taki sposób, by żaden z sąsiadów nie usłyszał nawet jednego krzyku, strzału czy odgłosu szamotaniny?

To tylko niektóre z pytań, które padały w tej zagadkowej i makabrycznej sprawie i – póki co – pozostawały one bez odpowiedzi. Tymczasem śledczy ustalali kolejne okoliczności marcowego dramatu...

Człowiek o złożonej osobowości

Podejrzany Iwan R. to 34-letni mężczyzna, urodzony w stolicy Azerbejdżanu, Baku. Legitymował się paszportem Federacji Rosyjskiej oraz Kartą Polaka (dokument potwierdzający przynależność do narodu polskiego, który

może być przyznany osobie nieposiadającej obywatelstwa polskiego ale zezwalający na czasowe osiedlenie się na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej. Przyznanie Karty Polaka nie oznacza przyznania automatycznie obywatelstwa polskiego. Kiedy miał dziewiętnaście lat, został powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. W armii nie spędził jednak zbyt wiele czasu. Po dwóch miesiącach „w kamaszach” został zwolniony do domu, bowiem uznano go za trwale niezdolnego do dalszej służby, z uwagi na „nieopanowanie przygotowania bojowego”. W Polsce przebywał od 2006 roku. Przyjechał do nas legalnie dzięki posiadanej Karcie Polaka, bo jeden z jego dziadków był narodowości polskiej. Oficjalnym powodem pierwszego przyjazdu na kilka miesięcy była opieka nad babcią, mieszkającą na stałe w Elblągu. Później starał się o zezwolenie na stałe osiedlenie się w Polsce, jednak nie uzyskał tego dokumentu. W momencie zatrzymania miał wizę czasową i tymczasowy meldunek w Elblągu.

Nie dało się ukryć, że Iwan R. to człowiek o złożonej osobowości. Był dorosłym, samodzielnym mężczyzną, a jednak nie wiadomo, z czego się utrzymywał. Przez całe lata nie miał stałego miejsca zatrudnienia... a mimo to nie narzekał na brak pieniędzy.

– *To był zwykły, spokojny, niczym nie wyróżniający się młody mężczyzna* – mówili o nim mieszkańcy elbląskiej kamienicy, w której od kilku lat mieszkał Iwan R. – *Nie wiemy, z czego się utrzymywał, ale stałej pracy na pewno nie miał! Podobno opiekował się babcią, ale ile w tym prawdy nie wiadomo. Babcia zmarła niedawno przed tym, jak został zatrzymany w sprawie zabójstwa.*

– *Znaleźli kozła ofiarnego, którego za dwa tygodnie wypuszczą* – dodał inny z sąsiadów. – *Miał jakieś przedmioty z mieszkania zamordowanego, bo się z nim zadawał i coś od siebie kupowali. Myślę, że chodzi tylko o uspokojenie opinii publicznej, że policja znalazła mordercę. To wszystko jest za proste i za łatwe. Nie zabija się dziecka za jakieś zardzewiałe odznaki, które bez żadnego problemu można kupić na Targu Dominikańskim...*

– *Policja prawdopodobnie poszła po najmniejszej linii oporu, wyciągając pasujące do tej sprawy fakty z dochodzenia, którego dokumentacja pokryta grubą warstwą kurzu leży sobie w jednym z sądów, gdzie miał się stawić oskarżony o nielegalne posiadanie broni. To, że Rosjanin posiadał przedmioty z mieszkania Jerzego W., mogło wynikać z faktu, że obaj kolekcjonerzy mogli handlować ze sobą.*

★ ★ ★

Chodził porządnie ubrany, bywał w dyskotekach i pubach. Skąd miał na to pieniądze?! Przecież nie żebrał, jest raczej mało

prawdopodobne, by utrzymywała go najbliższa rodzina. Nie pracował tak jak matka i siostra na miejskim targowisku, jednak dobrze ubrany wiódł sobie dostatnie życie. Chwalił się, że podróżował po całym świecie. Tak jak wielu przybyszów z wschodniej granicy miał się różnych zajęć. Jedni handlują przywożonymi ze Wschodu artykułami spożywczo-przemysłowymi, inni ciężko pracują „na czarno”, niekiedy po kilkanaście godzin za marne pieniądze. Iwan nie miał wygórowanych potrzeb, można zaryzykować twierdzenie, że kolejne dni przepływały mu przez palce. Rzadko miał się jakichś dorywczych zajęć, jeśli czymś handlował, to przywożonymi ze Wschodu militariami. Oryginalnym sposobem dorabiania sobie na życie była hodowla rasowych kotów, za które zdarzało mu się inkasować nawet po kilkaset złotych.

Wprawdzie w opinii polskich sąsiadów uchodził za zwykłego, spokojnego człowieka, niemniej w jego rosyjskim życiorysie były nieciekawe fakty... W maju 2011 roku na stacji kolejowej w Kaliningradzie Iwan R. został zatrzymany przez patrol do rutynowej kontroli dokumentów. 30-letni wówczas Rosjanin wylegitymował się podrobioną legitymacją rosyjskiego ministerstwa spraw wewnętrznych. Iwan został przeszukany. Znalaziono przy nim pistolet kalibru 5,6 mm, dziesięć sztuk amunicji i domowej roboty tłumik. Sąd Rejonowy w Kaliningradzie w listopadzie 2011 roku skazał Iwana R. na 10 miesięcy kolonii karnej o złagodzonej rygorze.

Młody mężczyzna od wielu lat zafascynowany był wszystkim, co jest związane z wojskiem i militariami. Być może pomagało mu to w kreowaniu się na twardego mężczyznę, który przeszedł w życiu wiele trudnych i niebezpiecznych sytuacji. Iwan lubił konfabulować i był mistrzem w kreowaniu zdarzeń, które były rzekomo jego udziałem. Wśród znajomych w Polsce chwalił się, że służył jako kapitan w Czeczenii. Historie te uwiarygodniać miały zdjęcia, na których widniał ubrany w obcy, wojskowy mundur. Dopiero w śledztwie okazało się, że fotografie zostały zrobione nie w Czeczenii, lecz w Polsce... w czasie złotu miłośników militariów.

Podejrzany i denat poznali się kilka lat wcześniej w nadmorskim Darłowie, gdzie w ostatnim tygodniu czerwca zjeżdżają się miłośnicy militariów, przede wszystkim z okresu drugiej wojny światowej. Czegóż tam nie ma. Stare mundury, repliki broni sąsiadują z czołgami, wojskowymi samochodami bojowymi oraz wszelkiego rodzaju łazikami, jeepami, gazikami i motocyklami. Stałym punktem imprezy obok prezentacji militariów są rekonstrukcje historyczne bitew drugiej wojny światowej, pokazy pirotechniczne, konkursy i kursy strzeleckie, przejażdżki wybranymi pojazdami po terenie czołgowiska, prezentacje filmów o tematyce wojennej, koncerty, pokazy wojskowej

mody oraz kiermasz militariów. Kto jest pasjonatem militariów i jeszcze na takiej imprezie nie był, koniecznie musi sobie zarezerwować czas i przyjechać pod koniec czerwca do Darłowa.

Pechowa przesyłka za ocean

Jerzy W. to zupełne przeciwieństwo Iwana R. Wykształcony, kulturalny młody człowiek, który ostatnie miesiące poświęcił opiece nad dzieckiem. Żona od kilku lat prowadziła doskonale prosperujący salon fryzjersko-kosmetyczny i dlatego zdecydowali, że to ona wróci do miejsca zatrudnienia, skąd przed kilkoma miesiącami odszła na urlop wychowawczy. Pan Jerzy od wielu lat zarabiał na życie handlem militariami i antykami, łącząc pasję z biznesem.

W środowisku miłośników militariów był dość dobrze znaną postacią. Pasjonaci historii cenili go za rzetelność i duży wybór oferowanego towaru. Nie był detalistą, często dokonywał hurtowych zakupów za granicą, a potem sprzedawał towar na giełdach i za pośrednictwem internetu w kraju. Miał wielu zaufanych dostawców towarów. – Gdy pojawiały się np. dwie skrzynki doskonale zrobionych replik hełmów w Norwegii, to on kupował wszystko i potem sprzedawał – opowiadał jeden ze

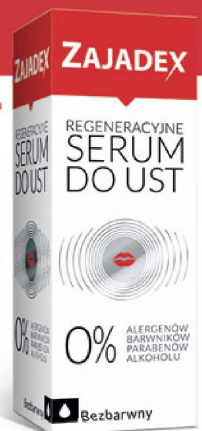
REKLAMA

Hity z apteki!

ULGA DLA UST

ZAJADEX® serum na zajądy tworzy bezbarwną warstwę ochronną, która łagodzi swędzenie i pieczenie skóry, redukując uczucie dyskomfortu. Zawiera starannie dobrane składniki aktywne m.in. drożdże, witaminy A,B,D,E,F oraz panthenol, dzięki czemu przynosi natychmiastową ulgę. 0% parabenów, alergenów, barwników, alkoholu.

ZAJADEX®. CENA: 12 ZŁ
DOSTĘPNY W APTEKACH



BÓL MIĘŚNI I STAWÓW

Tradycyjna receptura wzbogacona o składniki aktywne zapewnią naturalne działanie oraz intensywne grzanie, pozostawiając przyjemne uczucie ulgi.

Maść zaleca się stosować do rozgrzania okolic mięśni, stawów oraz pleców.

Szczególnie polecana dla osób uprawiających sport i osób starszych.

MAŚC NIEDZWIEDZIA™. CENA: 14 ZŁ
DOSTĘPNA W APTEKACH

znajomych. – Co pewien czas jeździł do Belgii, bo tam jest spory rynek zbytu. Towar krąży po całym świecie, kto znajdzie go w bardziej atrakcyjnej cenie, może liczyć na większe przebicie.

Prowadzący śledztwo nie wykluczali, że zabójstwo trzyposobowej rodziny to w pewnym sensie wynik sprawy sądowej, w której Jerzy W. oskarżony był o nielegalny handel bronią o charakterze międzynarodowym. Taki przynajmniej groźnie brzmiący zarzut postawiła mu Prokuratura Apelacyjna w Gdańsku, a wyrok w tej sprawie miał zapaść za kilka tygodni. Oskarżenie poważne, choć sama sprawa nie była aż tak wielkiego kalibru. Wszystko zaczęło się kilka miesięcy wcześniej, kiedy nadał paczkę do swojego brata mieszkającego w Stanach Zjednoczonych. Podczas kontroli celnej znaleziono w niej części do karabinków automatycznych. Dokładniej – 97 łóz. Poważna sprawa, o której natychmiast powiadomiono Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Rozpoczęło się śledztwo, które miało na celu wyjaśnienie, w jakim celu bracia mieszkający po dwóch stronach oceanu, robią sobie takie dziwne „prezenty”. Jerzy W. chętnie składał wyjaśnienia na ten temat: – *Zarówno ja, jak i mój brat jesteśmy miłośnikami militariów. Szczególnie interesują nas pamiątki z czasów drugiej wojny światowej. Wysłałem te elementy do brata, bo montuje on wiatrówki ASG. Brat bierze udział w różnych rekonstrukcjach, inscenizacjach. Te rzeczy były nabyte w kraju, na giełdach, trudno, by brat przyjeżdżał do Polski na giełdę. To nie była żadna kontrabanda, jak twierdzi oskarżyciel, tylko zwykła, legalna przesyłka wysłana z adresem nadawcy na adres prawdziwej rodziny.*

– *Celnicy chwalili się, że to ich wielki sukces, były materiały w telewizji, przebitki w programach informacyjnych, a to była ich głupota, a nie sukces – stwierdził jeden ze znajomych zamordowanego. – Takich spraw są w Polsce dziesiątki, bo handlarz militariami to zawsze potencjalny podejrzany. Bez przesądzenia o karze i winie mogę powiedzieć, że tego rodzaju sprawy są dość częste w naszym kraju i z reguły kończą się umorzeniem lub uniewinnieniem domniemyanych groźnych przestępców. Wszystko przez nie do końca precyzyjne przepisy regulujące posiadanie i obrót bronią w naszym kraju, z drugiej strony – niedostateczna znajomość przepisów prawa na ten temat wśród funkcjonariuszy policji.*

★ ★ ★

ASG (Air Soft Gun) to replika broni palnej, najczęściej w skali 1:1, strzelająca najczęściej plastikowymi kulkami kalibru 6 lub 8 milimetrów. Repliki te wykorzystywane są podczas ćwiczeń taktycznych, jak i treningów grup paramilitarnych lub rekonstrukcyjnych. Znalezione w prze-

syłce do Stanów Zjednoczonych elementy broni były powszechnie dostępne na wolnym rynku i na ich posiadanie – w myśl przepisów ustawy o broni i amunicji – nie jest potrzebne pozwolenie. Z drugiej jednak strony trzeba uzyskać zgodę na ich wywóz lub tranzyt przez Polskę. Jerzy W. nie dopełnił tego obowiązku i to było powodem jego kłopotów z prawem. Kłopotów dość poważnych, bowiem za zarzucane mu czyny kodeks karny przewidywał karę do dziesięciu lat pozbawienia wolności. Brakowało zaledwie kilku dni do sądowego finału tej sprawy... Niestety, śmierć oskarżonego nie pozwoliła na wydanie wyroku w tej sprawie.

Według pasjonatów historii i zbieraczy zabytkowych militariów, niespójność przepisów o posiadaniu broni zabytkowej sprzyja jej nadinterpretacji. W efekcie o jej nielegalne posiadanie oskarżani są kolekcjonerzy militariów, niejednokrotnie szacowni przedstawiciele świata kultury i nauki. Przy okazji – można odnieść wrażenie – że niejednokrotnie stróże prawa marnotrawią swój cenny czas infiltrując środowisko zacnych obywateli zainteresowanych historią najnowsza. Policja – monitorując aukcje internetowe – usprawiedliwia się, że to wszystko dla dobra zwykłych ludzi, bowiem pod przykrywką kolekcjonerstwa bandyci sprowadzają pistolety i karabiny. Z kolei kolekcjonerzy ripostują: – Sto razy bardziej opłaca się przestępcom kupić kałasznikowa za tanie pieniądze, niż odkupić od kolekcjonera egzemplarz zabytkowej broni, w której lufy bywają zaspawane, a groty igliczne zeszlifowane bądź wyłamane. Jedynym grzechem takich prawdziwych kolekcjonerów jest to, że niektórzy z nich nie posiadają zezwolenia na posiadanie broni, ani nie mają karty rejestracyjnej potwierdzającej pozbawienie broni cech użytkowych.

Nasze przepisy są bardzo rygorystyczne. Nawet samodzielne pozbawienie broni cech strzelniczych nie zwalnia od odpowiedzialności, bo muszą to zrobić wskazani przez policję rusznikarze. Według obowiązującego w Polsce prawa (w przeciwieństwie do przepisów niemieckich czy czeskich) bronią palną jest także np. zamek do karabinu, czy tylko jego lufa. To nic, że samodzielnie nie wystrzelą. Co więcej, przepisy nie regulują zasad sprowadzania broni do celów kolekcjonerskich z państw Unii Europejskiej – tym samym nie ma obowiązku jej rejestrowania.

A może Jerzy W. zginął wraz z żoną i dzieckiem, ponieważ wiedział zbyt wiele, albo próbował wejść na rynek zdominowany już przez innych potentatów?! Może z kimś się nie rozliczył, może zalegał komuś jakieś pieniądze? – Niewykluczone, że w tym wszystkim chodzi o rozliczenia związane z innymi transakcjami – twierdzili niektórzy policyjni informatorzy. – Oncały czas próbował działać w tej branży. Ta paczka, którą próbował wysłać do Stanów, to nie był po prostu handelek

kolekcjonera. Raczej coś w rodzaju prezentacji: czy interesuje was taki sprzęt? Być może obiecał komuś coś, wziął pieniądze i nie wywiązał się. Albo dostarczył sprzęt, ale wadliwy i zapłacił za to najwyższą cenę...

★ ★ ★

Toczący się przed gdańską Temidą proces Jerzego W. wymieniany był jako jeden z potencjalnych motywów potrójnego zabójstwa. Spekulowano nawet, że w ten sposób nieznanemu mocodawcy chcieli zamknąć mu usta na wypadek, gdyby chciał zbyt dużo wyjaśniać w tej sprawie. Jeśli nawet przyjąć takie założenie... to ich działanie było bardzo mocno spóźnione, bowiem pan W. złożył w tej sprawie szczegółowe wyjaśnienia. Nie było w nich żadnych rewelacji, nie padły żadne nazwiska, nie było mowy o żadnych zdarzeniach, które mogłyby stawiać kogokolwiek w niekorzystnym świetle. A przecież w świecie handlarzy militariami niekiedy obraca się dużymi pieniędzmi!

– Przy dużych zakupach to dziesiątki tysięcy euro, dlatego że nie kupuje się nigdy jednej części, ale od razu setki przedmiotów – tak o kwotach pojawiających się w zamówieniach na kolekcjonerskie artykuły militarne opowiadał trójmiejskiej prasie jeden ze znawców tematu, znajomy zamordowanego. – Jeden magazynek do „pepeszy” w Rosji kupić można za 17 – 20 złotych, w Polsce kosztuje już ponad 120 zł, zdarza się, że przebicie jest i dziesięciokrotne. Może Adam złożył takie właśnie duże zamówienie u osoby, która potem z chęci zysku dokonała zabójstwa, bo była przekonana, że znajdzie przy denacie znaczne pieniądze...

Dramatyczna kłótnia

Wtrakcie śledztwa oskarżony został przebadany przez biegłych psychiatrów. Na podstawie własnych badań i opinii rosyjskich kolegów, psychiatrzy jednoznacznie stwierdzili, że w czasie, gdy doszło do zabójstw, mężczyzna był poczytalny, a jego kondycja psychiczna pozwalała na to, by odpowiadał za swoje czyny przed sądem.

Iwan R. usłyszał łącznie pięć zarzutów. Oskarżyciel zarzuca mu, że w dniu 13 marca 2013 roku w Gdańsku, działając w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, w wyniku motywacji zasługującej na szczególnie potężenie, z zamiarem bezpośrednim pozbawienia życia Jerzego W. i Iwony W. oddał z bliskiej odległości po dwa strzały w ich głowy, z pistoletu wzoru Walther P22, kal. 22 Long Rifle oraz jeden strzał w głowę ich 16-miesięcznej córki Zuzanny W., na skutek czego wszyscy zginęli. Mężczyzna jest oskarżony rów-



nież o to, że z mieszkania zamordowanych zabrał 14 sztuk zastawy stołowej, sygnowanej „Waffen SS, „SS Reich”, „Polizei Reich 1940”, z symbolami Luftwaffe oraz herbem Gdańska, 50 sztuk sztuczków sygnowanych „Waffen SS” i „Waffen SS Lublin”, cztery trzonkowe granaty ćwiczebne, hełm M.22, 122 klamry pasów niemieckich formacji wojskowych i paramilitarnych z lat 1925-1945, sztylet formacji SS (wraz z pochwą), wzoru 1933, proporczyk SS, dwie nieprzełamane blaszki identyfikacyjne żołnierzy Wehrmachtu, metalową, emaliowaną tabliczkę ReichsLuftschutz Bund, koszulę mundurową SA z opaską NSDAP, opaskę Volksturmu, spodnie mundurowe SA koloru czarnego, parę niemieckich wysokich butów skórzanych z cholewami oraz dwie współczesne kopie odznak pamiątkowych niemieckich marynarzy Kriegsmarine, ozdobne pasy przeznaczone do mocowania sztyletów formacji SS i pierścien z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Z mieszkania zamordowanych zabrał również sprzęt elektroniczny, w tym laptop, dwa tablety i dwa aparaty fotograficzne. Prokuratura wyceniła wartość skradzionych przedmiotów na ponad 65 tysięcy złotych

Wszystko wskazuje na to, że była to niezaplana i bezcelowa zbrodnia. W tamten środowy wieczór Iwan R. pojawił się w mieszkaniu denatów, bo Jerzy W. miał wycenić posiadany przez niego kordzik oficerski pochodzący z czasów drugiej wojny światowej. Zanim przekroczył próg mieszkania przy ulicy Długiej, telefonicznie potwierdził swoje przyjście. W trakcie wizyty między panami, z nieustalonego dotychczas powodu, doszło do awantury. Musiała być nagła i bardzo ostra, bo wprowadziła Iwana z równowagi, który stracił panowanie nad sobą. Możemy się tylko domyślać, co było jej powodem... Może Jerzy W. próbował oszukać Rosjanina co do wartości przyniesionego przez niego kordzika? Może poniosły go nerwy i powiedział o kilka słów za dużo? A może Iwan stał się agresywny i natarczywy, może zażądał,

by Jerzy W. odkupił od niego przyniesiony eksponat... Scenariuszy mogło być naprawdę wiele, a który z nich jest prawdziwy, może stwierdzić jedynie oskarżony. Ten zaś nie chce rozmawiać na ten temat. W pewnym momencie doszło do tragedii: Iwan R. wyjął pistolet i – strzelając dwukrotnie z bardzo bliskiej odległości w głowę – zabił Jerzego W. Mężczyzna zginął na miejscu. W rękę zabitego Jerzego W. wciąż znajdowała się tyżeczka do herbaty, której nie zdążył wypuścić z dłoni, co tylko potwierdzało hipotezę o bardzo gwałtownym charakterze zdarzeń.

Odgłosy awantury, a potem strzałów, musiała słyszeć przebywająca w sąsiednim pokoju żona Jerzego (co ciekawe – nie słyszeli ich sąsiedzi! Pistolet, którego użył zabójca, to cicha broń małego kalibru, więc jej odgłos mógł się wtopić w gwar wielkiego miasta, bo nikt nie zwrócił na niego uwagi). Zaniepokojona kobieta, która właśnie kołysała dziecko do snu, natychmiast przybiegła do salonu, w którym przed kilkoma minutami pozostawiła męża i gościa. W tym momencie wydała na siebie wyrok... Nie można wykluczyć, że zdenerwowany zabójca, nie namyślając się wiele, automatycznie pociągnął za spust, by pozbyć się niepotrzebnego świadka. Wreszcie na samym końcu Iwan R. zabił jednym strzałem w głowę dziewczynkę. Dlaczego to zrobił? Co zawiniło niewinne maleństwo, które na pewno nie pomogłoby w zidentyfikowaniu sprawców śmierci jego rodziców? Z ustaleń śledczych wynika, że mężczyzna zrobił to, bo dziecko płakało, a głośnym krzykiem zdenerwowało go w tamtej sytuacji. Po zabójstwie Rosjanin ukradł z mieszkania zabitych liczne militaria i sprzęt elektroniczny. W opinii prokuratorów, jest możliwe, że na kradzież Iwan R. mógł zdecydować się dopiero po tym, jak zabił rodzinę. Po spakowaniu łupów sprawca wrócił autobusem rejsowym do Elbląga, gdzie spalił ubranie i ukrył pistolet. W momencie, gdy został zatrzymany przez policję, mężczyzna był spakowany i przygotowany do wyjazdu z Polski: najprawdopodobniej zamierzał wyjechać do Moskwy. W jego mieszkaniu policja znalazła wszystkie skradzione z mieszkania Jerzego W. przedmioty, co jednoznacznie wskazywało go, jako sprawcę potrójnego zabójstwa. – *Mamy stu procentową pewność, że pistolet, którym posłużono się do popełnienia zbrodni jest tym, którego używał Iwan R. Wszystkie ofiary zginęły w wyniku postrzału* – mówił kilka dni później jeden z trójmiejskich prokuratorów.

★ ★ ★

Iwan R., zarówno w trakcie rozmów z policjantami, jak i w czasie przesłuchań w prokuraturze, nie przyznał się do dokonania tej zbrodni.

Składał wzajemnie wykluczające się wersje, kłuczył, przeinaczał fakty, wreszcie obciążał zabójstwem bliżej nieznanego współnika, który z zimną krwią miał jakoby dokonać egzekucji w gdańskiej kamienicy. Podobno tylko raz wyjawiał kulisy zbrodni i potwierdził, że to on był jedynym zabójcą. Stało się tak w trakcie nieoficjalnej rozmowy z konwojującymi go policjantami, którzy prowadzili pierwsze czynności po zatrzymaniu. To wtedy, w czwartkowy wieczór, w radiowozie jadącym z Elbląga do Gdańska, szczegółowo opowiedział o popełnionym przestępstwie.

Śledztwo w tej bulwersującej sprawie zostało wprawdzie zamknięte, jednak nie udało się ustalić, gdzie, kiedy i od kogo oskarżony kupił Walthera, z którego padły śmiertelne strzały. Z pomocą Interpolu udało się ustalić, że broń wyprodukowano w Austrii, uznano ją jednak za wadliwą, zdekompletowano i sprzedano jako broń dekoracyjną. Nie wiadomo, kto dokonał przeróbek, które przywróciły sprawność pistoletowi, nie wiadomo, kiedy i w jaki sposób trafiła w ręce Iwana. Wszystko wskazuje na to, że nigdy wcześniej nie zastrzelono z niej człowieka.

Tak jak często zdarza się w sprawach o zabójstwa, policjanci przy okazji prowadzonego śledztwa zaczęli sprawdzać inne, niewyjaśnione sprawy zabójstw w regionie. Jednym z nich był napad na kantor wymiany walut, do którego doszło wieczorem 19 września 2012 roku. Sposób działania nieustalonego do dzisiaj bandyty, jak i motyw mogły sugerować, że sprawcą jest Iwan R. Zabójca z kominiarką na głowie, ubrany w kurtkę wojskowego kroju oraz spodnie typu „moro” i wojskowe buty strzelił z pistoletu w głowę 31-letniej Anny W., właścicielki kantoru, kiedy ta szła do samochodu z utargiem.

Nie dał jej szansy na dobrowolne oddanie pieniędzy, tylko od razu pociągnął za spust pistoletu. Jego łupem padło kilkadziesiąt tysięcy złotych w różnej walucie. Po napadzie odjechał autem. Kobiety nie udało się uratować, osierociła dwuletnie dziecko. Wprawdzie za pomoc w ujęciu sprawcy wyznaczono nagrodę 10 tysięcy złotych, jednak nie przyniosło to żadnego efektu. Wkrótce sprawa została umorzona z powodu niewykrycia sprawcy przestępstwa. Modus operandi sprawcy napadu pasował do Iwana R. i przez kilka dni śledczy łudzili się, że uda się go powiązać z tą sprawą. Jednak dowody zabezpieczone na miejscu zabójstwa wykluczyły związek Rosjanina z tym dramatycznym zdarzeniem. Akt oskarżenia Iwana R. o zabójstwo trzysobowej rodziny został skierowany do sądu. ■

Leon Madejski

Wszystkie personalia zostały zmienione.

SUROGATKA

Tomasz Łukaszewicz

Chęć posiadania potomka jest jednym z najsilniejszych pragnień znanych człowiekowi. Wiele osób, nie mogąc zrealizować tego marzenia w sposób naturalny – poszukuje zastępczych rozwiązań. Dzisiejszy rozwój naprotechnologii i genetyki przychodzi w sukurs tym, którym natura nie pozwala doczekać się potomka w sposób tradycyjny. Rozwojowi medycyny nie zawsze towarzyszy postęp w dziedzinie prawodawstwa, co może powodować ogromne konflikty i rozpalać emocje. Historia perypetii małżeństwa Pawła i Julii W. z poznaną przez internet Karoliną K. może być tego namacalnym dowodem.



Małżonkowie Paweł i Julia W., mimo swoich niespełna trzydziestu jeden lat (byli rówieśnikami), mogli pochwalić się dziesięcioletnim stażem małżeńskim. Cynowa rocznica godów nie przebiegła w najszcześniejszej atmosferze. Mimo przetrwania wielu kryzysów, małżeństwo stało się pod ścianą – po kilkuletnich intensywnych staraniach, które pochłonęły znaczne środki finansowe, małżonkowie nie mogli doczekać się potomka. Julia W. miała problem o podłożu endogennym z donoszeniem ciąży (dwukrotnie poroniła). Jedynymi realnymi sposobami doczekania się dziecka przez małżonków W. była adopcja (w tym przypadku dziecko nie posiadałoby jednak genów Pawła i Julii W.), bądź wykorzystanie do urodzenia dziecka matki zastępczej (której metodą in vitro wszczepiono by jajeczko pobrane od Julii i zapłodnione nasieniem Pawła W.). W drugim z wymienionych przypadków matka zastępcza spełniłaby rolę naturalnego inkubatora i urodziła dziecko, które genetycznie nie miałoby z nią nic wspólnego.

★ ★ ★

Internet pełen jest ogłoszeń „młodych, zdrowych i posiadających już własne dziecko” kobiet, które „po ustaleniu bliższych szczegółów” urodzą dziecko dla kogoś innego. Na takie właśnie ogłoszenie w poczuciu bezsilności trafili Paweł i Julia W. Ofertę Karoliny K. wybrali spośród kilkunastu innych, popartych wieloma rozmowami telefonicznymi i kilkakrotnymi spotkaniami z potencjalnymi kandydatkami na surogatkę. Kryteria, jakimi kierowali się bezdzietni małżonkowie były czytelne: wiek do 30 lat, świetny stan zdrowia udokumentowany badaniami lekarskimi, urodzenie własnego zdrowego dziecka, brak chorób genetycznych i psychicznych w najbliższej rodzinie oraz stabilność emocjonalna mająca zapewnić trwałość podjętej decyzji o oddaniu dziecka po jego urodzeniu.

Po kilku spotkaniach z potencjalnymi kandydatkami na matkę ich dziecka, najbardziej przypadła im do gustu Karolina K. Dwudziestoosmiolatka w pełni sił rozrodczych, matka dwuletniej dziewczynki posiadająca licencjat z filologii angielskiej, od niedługo czasu rozwiedziona, ponieważ jej mąż wybrał życie w Wielkiej Brytanii z inną kobietą. Karolina K. potrzebowała zastrzyku finansowego, na pomoc rodziny nie mogła liczyć, ponieważ jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Ponadto dziewczyna pomimo młodego wieku zdawała się twardo stąpać po ziemi i wiedzieć, czego chce od życia i w jaki sposób to osiągnąć. Po kilku rozmowach telefonicznych i spotkaniach w „realu” obie strony wypracowały

szczegóły transakcji, której uwieńczeniem miały być narodziny potomka dla bezdzietnego dotąd małżeństwa.

Dla celów dowodowych wspólne ustalenia stron miały być poparte umową zawartą w formie pisemnej. Za wynagrodzeniem w wysokości pięćdziesięciu tysięcy złotych, plus udokumentowane koszty związane z donoszeniem ciąży, Karolina K. miała poddać się zabiegowi wszczepienia zapłodnionego jajeczka (zapłodnionego przez Pawła W.) pochodzącego od Julii W. W trakcie trwania „stanu błogosławionego” surogatka miała prowadzić „ułożony tryb życia” z możliwością pełnej kontroli przez Pawła i Julię W.

Małżeństwo W. tymczasem miało zgłosić się do najbliższego ośrodka adopcyjnego i poddać się procedurom weryfikacyjnym przygotowującym do adopcji dziecka – mającym zapewnić im pozytywną opinię ośrodka adopcyjnego, umożliwiającą w przyszłości adopcję dziecka. Po urodzeniu, Karolina K. wskazując nieznaną ojca noworodka, miała zrzec się praw rodzicielskich do dziecka i zainicjować jego adopcję ze wskazaniem na oddanie dziecka małżeństwu Pawła i Julii W. Tym samym bezdzietne dotąd małżeństwo miało doczekać się objęcia władzą rodzicielską genetycznie własnego dziecka. Zabieg wszczepienia zapłodnionej komórki jajowej Karolinie K. miał odbyć się w jednej z litewskich klinik (kryterium była tutaj cena, prostsze procedury i brak zbędnych pytań ze strony personelu medycznego oraz niewielka odległość zamieszkania od granicy z Litwą – obu stron transakcji).

★ ★ ★

Po podpisaniu umowy stworzonej naprędce przez Pawła W. i pozytywnym przebiegu zabiegu in vitro, Karolina K. otrzymała połowę umówionej gratyfikacji finansowej. Comiesięczne badania przebiegu ciąży wskazywały na prawidłowy rozwój płodu. Również wyrwykowe kontrole trybu życia Karoliny K. przeprowadzane przez chuchających na zimne przyszłych rodziców, nie budziły jakichkolwiek wątpliwości. Pomyślna współpraca stron niecodziennej transakcji trwała mniej więcej do początków ósmego miesiąca ciąży, kiedy to Karolina K. zaczęła przejawiać zmienne nastroje. Początkowo małżonkowie W. kładli to na karb zmian hormonalnych w organizmie matki zmęczonej fizycznie ciążą i zbliżającym się terminem porodu.

Wtedy to Karolina K. zaczęła mimochodem sugerować swoje wątpliwości związane z etycznymi aspektami całej transakcji i uczuciami matczynymi do noszonego właśnie dziecka – wątpliwości te, jej zdaniem, mogłyby rozwiązać podwyższenie umówionej stawki do dziewięćdziesięciu

tysięcy złotych (brakujących jej do zakupu kawalerki). O podwyższeniu umówionej kwoty nie chciało nawet małżeństwo W., które i tak po zainwestowaniu w zabieg in vitro – poniosło znaczne koszty finansowe. Kiedy Karolina K. nie mogła osiągnąć swego celu sugestią, postanowiła postawić sprawę jasno i oświadczyła, że jeżeli nie dostanie wynagrodzenia w wysokości dziewięćdziesięciu tysięcy złotych, nie zrzeknie się praw do dziecka i nie zainicjuje adopcji ze wskazaniem na rzecz małżonków W. Co więcej, wskazała w akcie urodzenia (zgodnie zresztą z prawdą) Pawła W., jako ojca dziecka i pozwie go o alimenty pozwalające zapewnić jej i urodzonemu przez nią dziecku godne życie. Ewentualnie zrzeknie się praw rodzicielskich (wskazując ojca jako nieznanego) i przekaże urodzone dziecko do adopcji w trybie zwykłym, nie wskazując małżeństwa W. jako potencjalnych przyszłych rodziców, a wtedy biorąc pod uwagę szybkość działania sądów rodzinnych i czas trwania zwykłych procedur adopcyjnych – szanse na to, że małżonkowie W. adoptują urodzone przez nią dziecko, są statystycznie żadne.

Paweł W. żyjąc w przekonaniu, że umowa na piśmie jest „świętością” i wiąże mocno obie strony transakcji, udał się do kancelarii prawnej zajmującej się prawem rodzinnym, w celu potwierdzenia swoich racji i wyegzekwowania zobowiązań podjętych pisemnie przez Karolinę K. Konsultacja z radcą prawnym pozbawiła go wszelkich złudzeń. Dowiedział się, że stworzona przez niego i podpisana z Karoliną K. umowa z mocy prawa jest nieważna. Co więcej, jej zawarcie może być poczytane za próbę handlu ludźmi, co zgodnie z obowiązującym w Polsce kodeksem karnym jest przestępstwem zagrożonym karą pozbawienia wolności. Ponadto, zgodnie z kodeksem rodzinnym i opiekuńczym obowiązującym na terenie RP, matką dziecka jest kobieta, która je urodziła – i nie ma żadnego znaczenia, że komórka jajowa pochodziła od innej kobiety. Tym samym argumenty przytaczane przez Karolinę K. na poparcie jej żądań podwyższenia kwoty wynagrodzenia i uniknięcia następstw jej możliwych czynów, znalazły realne uzasadnienie.

★ ★ ★

Po burzliwej rozmowie małżonków W. i pani Karoliny – kobieta zmieniła miejsce zamieszkania (przeprowadziła się do swojego konkubenta) i przestała odbierać telefony. Oczekujący na przyście na świat swojego dziecka ojciec nie dał za wygraną i zaczął wysyłać Karolinie K. SMS-y z groźbami, dodatkowo nagrywając się jej w podobnym tonie na poczcie głosowej – chcąc w ten sposób skłonić ją do wywiązania się z wcześniejszych ustaleń. Po

kilkunastu SMS-ach i nagraniach na poczcie głosowej Karolina K. oddzwoniła do Pawła W., informując go, że zebrane przez nią SMS-y i nagrania pozwolą oskarżyć ich autora o stalking (uporczywe nękanie) i groźby karalne.

Co więcej, pani Karolina stwierdziła, że jeżeli taka sytuacja się powtórzy, to oprócz wniesienia zawiadomienia do prokuratury o popełnieniu przestępstwa, zawiadomi o zaistniałych sytuacjach ośrodek adopcyjny, w którym małżeństwo W. poddawało się procedurom mającym w przyszłości zapewnić im adopcję dziecka. Wiedza o groźbach karalnych, zapowiedź użycia przemocy i możliwość wszczęcia postępowania karnego wobec Pawła W. skutecznie wykluczy małżonków W. z prób adopcji jakiegokolwiek dziecka, nie tylko urodzonego przez Karolinę K. – z tą chwilą ich sen o rodzicielstwie zakończy się stuprocentowo. Tym samym małżeństwo Pawła i Julii W. uzyskało czas na zastanowienie się nad przyszłością, konsekwencją swoich postępowań i na ewentualne zgromadzenie środków finansowych służących zaspokojeniu dodatkowych żądań Karoliny K.

Wreszcie nadszedł ten oczekiwany przez obie strony feralnej umowy i pełen obaw, dzień porodu. Kobieta urodziła zdrową dziewczynkę, która w skali Apgar dostała 10 punktów. Surogatka w obecności konkubenta pokazała noworodka Pawłowi i Julii W., podtrzymując swoje wcześniejsze żądania. Widok własnego genetycznego dziecka zrobił na małżeństwie W. piorunujące wrażenie. Od tego momentu czas zaczął biec nieubłaganie dla małżonków W. Zgodnie z obowiązującymi przepisami matka dziecka ma sześć tygodni od urodzenia na zrzeczenie się praw rodzicielskich. Małżeństwo W. było „winne” pani Karolinie kwotę dwudziestu pięciu tysięcy złotych (niezapłaconą drugą połowę ustalonego wcześniejszego wynagrodzenia) oraz dodatkowo żądane czterdzieści tysięcy złotych, co w sumie dawało kwotę sześćdziesięciu pięciu tysięcy złotych. Pieniędźmi tymi w dniu urodzenia dziecka małżonkowie W. nie dysponowali.

Po kilku bezsennych nocach Paweł i Julia W. ostatecznie zdecydowali się zapłacić Karolinie K. żadaną kwotę i poprzez adopcję ze wskazaniem zostać pełnoprawnymi rodzicami własnego dziecka. Paweł W. na część żądanej kwoty wziął kredyt konsumpcyjny, obciążając hipoteką własną nieruchomości. Karolina K. wykazała się dodatkową zapobiegliwością, i na otrzymaną kwotę zażądała podpisania umowy darowizny w formie aktu notarialnego z dodatkowym zastrzeżeniem, że to małżonkowie W. zapłacą w jej imieniu podatek od darowanej kwoty.

Ostatecznie Karolina K. zrzekła się praw rodzicielskich do urodzonego przez siebie dziecka, oświadczyła, że ojciec dziecka jest nieznan

i zainicjowała procedurę adopcyjną, wskazując małżonków Pawła i Julię W., jako przyszłych rodziców. Procedury adopcyjne zakończyły się przyznaniem praw rodzicielskich małżonkom W. Nowi, w świetle prawa, rodzice oszaleli na punkcie własnej córki i tylko Pawłowi W. przybył dodatkowy kredyt do spłaty.

W praktyce znajomość małżonków W. i Karoliny K. mogłaby zakończyć się w tym momencie, gdyby nie przypadek i zadziorny charakter świeżo upieczonego ojca. Po dwóch latach od chwili przyznania praw rodzicielskich małżonkom W., Paweł mimochodem wszedł na stronę forum internetowego, na którym wraz z żoną szukał zastępczej matki. Przeglądając pobieżnie wpisy, natknął się na świeże ogłoszenie o zbliżonej treści do dawnego ogłoszenia Karoliny K. Pod treścią wpisu podany był adres mailowy Karoliny K. Mężczyzna, kierując się niezabliźnionymi ranami i czując się wykorzystany przez panią Karolinę, dodał na stronie internetowej swój komentarz ostrzegający potencjalnych kandydatów przed usługami i kontaktem z Karoliną K. (wskazując w treści wpisu jej pełne nazwisko), używając w stosunku do jej osoby nieparlamentarnego języka, w którym najłagodniejszymi określeniami były: oszustka i naciągaczka.

Jakież było zdziwienie Pawła W., kiedy po kilku miesiącach od daty zamieszczenia komentarza pod ogłoszeniem Karoliny K., on i jego małżonka otrzymali pismo z kancelarii prawnej wzywające ich do zapłaty kwoty kilku tysięcy złotych, jako zadośćuczynienia za naruszenie dóbr osobistych klientki kancelarii – spowodowanego wyzwiskami skierowanymi do jej osoby wymienionej z imienia i nazwiska, dokonane z komputera znajdującego się w miejscu zamieszkania małżonków W. Okazało się, że Karolina K. wystąpiła do administratora portalu internetowego, na którym znajdowały się ogłoszenia matek zastępczych, o podanie nr IP komputera, z którego dokonano zniesławiającego ją wpisu. Administrator portalu udostępnił kobiecie dane, z którymi ta zwróciła się na policję z prośbą o powiązanie numeru IP komputera z dostawcą usług internetowych i konkretnym adresem użytkownika komputera – jednocześnie wskazując na możliwość popełnienia przestępstwa zniesławienia jej osoby. W ten sposób policja wszczęła postępowanie przygotowawcze w sprawie podejrzenia popełnienia przestępstwa zniesławienia i ustaliła dane adresowe użytkownika komputera, z którego dokonano wpisu niekorzystnego dla Karoliny K.

W odniesieniu do małżonków W. pojawiła się więc zapowiedź wytoczenia powództwa



w sprawie cywilnej o naruszenie dóbr osobistych i zostało wszczęte postępowanie karne w sprawie o zniesławienie Karoliny K. Za namową prawnika Paweł W. zdecydował się na wpłatę na rzecz Karoliny K. kwoty trzech tysięcy złotych celem zadośćuczynienia za naruszenie czci i dobrego imienia Karoliny K. – w zamian za co pani Karolina cofnęła (za zgodą prokuratora), na etapie postępowania przygotowawczego, wniosek o ściganie sprawcy domniemanego przestępstwa zniesławienia jej osoby.

Po tej przykrej nauczce, małżeństwo W. zaprzestało jakichkolwiek kontaktów z Karoliną K. Ich córka jest zdrowym i rezerwowym dzieckiem, a z portalu dla matek zastępczych zniknęło ogłoszenie Karoliny K. Co prawda, Paweł W. obawia się, że brak ogłoszenia matki zastępczej ma charakter chwilowy i spowodowany jest jej aktualnym stanem. Podczas ostatniej wizyty w najbliższym mieście wojewódzkim mężczyzna natknął się na panią Karolinę – kobieta była w ciąży. ■

Tomasz Łukaszewicz

Wszystkie personalia zmieniono.

Życie na czterdzieści

Sławomir KOSMAŁA

procent

Opracowana metoda kradzieży była bardzo skuteczna i pomijając momenty załadunku i wyładunku, praktycznie nieobciążona ryzykiem. Bogumił M. z każdym kolejnym transportem sukcesywnie powiększał ładunek, umieszczając go w dodatkowych schowkach pojazdu. Dokładał przy tym starań, aby pojemniki nie zostały nawet przypadkowo odkryte. Kontroli się nie obawiał.



Praca, zwłaszcza dobra, jest dzisiaj prawdopodobnie największym dobrem człowieka. Jej utrata jest zatem czymś z pewnością niedobrym, co niejednego już spotkało, a spotkać może wielu. Bywa, że utrata pracy spotyka pracownika jeden raz w życiu, a bywa, że i kilka. Powodów utraty pracy może być tyle, ilu zwolnionych pracowników, albo jeszcze więcej.

Bogumiła M. utrata pracy spotykała w życiu już niejednokrotnie zawsze z jednego i tego samego powodu. Tym powodem niezmiennie był alkohol pity przez Bogumiła M. konsekwentnie przez całą swoją „karierę” zawodową, a także w licznych przerwach pomiędzy jedną pracą a drugą. Dzięki tej konsekwencji i silnemu przywiązaniu do pełnego wachlarza wyrobów Polskiego Monopolu Spirytusowego, Bogumił M. nieprzypadkowo zyskał pseudonim „Monopol”, nadany mu przez licznych przyjaciół doceniających jego wieloletnie osiągnięcia.

Co nie jest bez znaczenia, na swej zawodowej drodze Bogumił M. potykał się o ludzi surowych, ale zawsze życzliwych, toteż śladu alkoholowej pasji w jego licznych świadectwach pracy próżno by szukać. Z kolejnych zakładów odchodził zwykle na „własną prośbę”, co nie odpowiadało prawdzie żadnej części tej formuły, a całkowicie dowodziło, że pomimo swojej słabości był lubiany. W dokumentach był niezwykle „czysty jak łąka”, lub jak czysta zwykła.

Rozmowa kwalifikacyjna

Jaki był powód pana odejścia z poprzedniego miejsca pracy? – spytał kierownik prowadzący rekrutację pracowników.

– Alkohol – odpowiedział krótko i zgodnie z prawdą Bogumił M.

Wydawałoby się, że po takiej odpowiedzi szanse Bogumiła M. pseudonim „Monopol” na zatrudnienie gwałtownie zmaleły do zera, a dalsza rozmowa jest zbyteczna, tym bardziej że miejscem pracy miał być Polmos, a właściwie to, co po restrukturyzacji z niego pozostało. Dokładniej Dział Produkcji Wódek. Kierownik miał określony limit czasowy na rozmowę z kandydatem. Miał zamiar wypełnić go całkowicie. Poza tym przypadek Bogumiła M. zdążył go zaciekawić, a nawet rozbawić. Był także zdumiony szczerością kandydata, z tak szczególnymi doświadczeniami, aplikującego do pracy przy produkcji alkoholu.

– Mam przez to rozumieć, że został pan zwolniony za spożywanie alkoholu w miejscu pracy?
– kontynuował kierownik.

– Ależ skąd, panie kierowniku! Zostałem zwolniony za niespożywanie!

Po tej odpowiedzi zdumienie kierownika jeszcze wzrosło, podobnie jak jego ciekawość. Bogumił M. nałgał, że został zwolniony za to, że odmówił picia ze swoim kierownikiem, zresztą na jego imieninach. Wyjaśnił, że stało się tak nawet nie dlatego, że kierownik obraził się za taki dys-honor, ale z powodu, że uznał Bogumiła M. za podwładnego niegodnego zaufania, to znaczy potencjalnego donosiciela.

Wyjaśnienia zrobiły na kierowniku Działu Produkcji Wódek należyte wrażenie, bo na to były obliczone. Bogumił M. pracę w Dziale Produkcji Wódek otrzymał, co uznał za swoje największe szczęście i szczyt swojej dotychczasowej kariery zawodowej.

Lis w kurniku

Bogumił M. nigdy jeszcze nie chodził do pracy z taką radością. Początkowo nawet nie pił. To znaczy nie pił dużo, bo pracę polubił i nie chciał jej stracić, a i napić się wcale nie było tak łatwo. Alkohol wprawdzie przelewał się wokół strumieniami, ale cały proces produkcyjny kontrolowały wszechobecne kamery i czujne oko bezlitosnego operatora. Przeprowadzano także wyrwykowe kontrole trzeźwości pracowników. Oczywiście, pewna zawartość alkoholu w organizmie była na niektórych stanowiskach produkcyjnych dopuszczalna ze względu na długotrwałe przebywanie w oparach alkoholowych, ale była to zawartość niewielka i zupełnie Bogumiła M. niesatysfakcjonująca. „Monopol” myślał zatem intensywnie nad możliwością wyniesienia alkoholu z zakładu i spożycia go w mniej stresujących warunkach.

Wyniesienie alkoholu z wydziału produkcyjnego było utrudnione ale możliwe, natomiast przeniesienie go przez najeżoną kontrolami portiernię wydawało się już niewykonalne. Kontrole wychodzących pracowników były wprawdzie wyrwykowe, ale bardzo drobiazgowo. Dotyczyły jednak tylko rzeczy osobistych oraz odzieży pracownika. Nigdy nie obejmowały samego pracownika, czyli jego wychodzącego z zakładu organizmu. Bogumił M. wynosił zatem alkohol „w sobie”. Kilka minut przed zakończeniem pracy i wejściem na portiernię wypijał satysfakcjonującą go dawkę, po czym dziarskim krokiem (aby alkohol nie zdążył zadziałać) pokonywał kontrolę i opuszczał zakład. Dawka pozwalała mu spędzić miło popołudnie (na tyle miło, że nie wszystko precyzyjnie pamiętał) oraz dotrzeć w pogodnym nastroju do dnia następnego i kolejnej zmiany.

Trudne weekendy

Bogumił M. nie zdołał jednak rozwiązać problemu trzeźwych weekendów wynikających z tego, że zakład, a więc także i on, wówczas nie pracował. Był to problem dla niego dokuczliwy. Wiadomo, w weekendy pic chce się najbardziej. Pragnienie zdopingowało Bogumiła M. do myślenia. Myślenie zaowocowało pomysłem na wynoszenie alkoholu w torebkach foliowych przytwierdzanych do ciała za pomocą taśmy samoprzylepnej, służącej zwykle do zaklejania kartonów. Torebki przyklejał Bogumił M. do swojego „wielkopowierzchniowego” ciała w miejscach przeróżnych, niejednokrotnie intymnych. Zważywszy na dużą kleistość taśmy samoprzylepnej i bogactwo owłosienia oklejanego, jego „rozklejanie” przyjemne nie było.

Poświęcenie jednak się opłacało, bo „trzeźwe weekendy” odeszły w zapomnienie. Alkoholu Bogumiłowi M. odtąd nie brakowało. Swoim szczęściem dzielił się nawet z kolegami z podwórka, którzy nie mieli tak wiele szczęścia, aby pracować „u źródła”, a nawet tyle, aby pracować gdziekolwiek.

Cyklista hobbysta

Podczas jednej z kontroli pracowników wychodzących strażnik zorientował się, że Bogumił M. posiada w spodniach nie tylko to, czym obdarowała go natura. Strażnik miał duże doświadczenie nie tylko zawodowe i wiedział, że natura aż tak hojna nie bywa. Od

bardziej szczegółowej kontroli zawartości spodni powstrzymało go jedynie obrzydzenie przed dokonaniem tej czynności. Obrzydzenie okazało się silniejsze od obowiązkowości. Strażnik był z tych wrażliwych. Tym razem Bogumiłowi M. „udało się”. Został jednak zdekspirowany. Jego złodziejska technika musiała odtąd zostać uznana za bezpowrotnie wyeksploatowaną. Strażnik ostrzegł bowiem, że przemytnika zapamięta i następnym razem będzie mniej „obrzydliwy”, a bardziej obowiązkowy.

Potrzeba jest matką wynalazku. W przypadku Bogumiła M. to nie potrzeba była matką, a pragnienie. Bogumił M. zauważył, że pracownicy przyjeżdżający do zakładu rowerami, wjeżdżają nimi do wewnątrz i zostawiają swoje jednoślady w stojakach na terenie zakładu. Kierownictwo firmy wydało na to zgodę po serii kradzieży rowerów pracowników zaparkowanych na ogólnodostępnym parkingu zewnętrznym. Niektórzy, pracujący w miejscach bardziej odległych od portierni, wjeżdżali nawet dalej, by parkować rowery w bezpośrednim sąsiedztwie swoich miejsc pracy.

Bogumił M. zakupił sobie rower. Nie uczynił tego z powodu niespodziewanie uaktywnionej rowerowej pasji. Jedną pasję już bowiem miał. Zupełnie nie rowerową. Pojazd nie był nowy. Był stary i ciężki. Z solidną, stalową ramą. Rama była na tyle solidna, by pomieścić w swojej części pionowej, pod wysłużonym siodełkiem, sporą próbkę laboratoryjną. Bogumił M. wjeżdżał na teren zakładu z pustą próbką, wyjeżdżał natomiast z pełną. Pomysł się sprawdzał. Strażnikom nigdy nie przyszło na myśl zdjąć z roweru siodełko, choć Bogumiła M. kontrolowali przez pewien czas wyjątkowo skrupulatnie. Pomysł miał jednak poważną wadę. Probówka, mimo że nie miała, wystarczała jedynie na bieżące potrzeby Bogumiła M. Podwórkowi koledzy byli z tego powodu niepokieszeni, bo i pocieszyć się nie mieli czym.

Kluczyk

Kluczyk leżał częściowo przykryty trawą w bezpośrednim sąsiedztwie chodnika prowadzącego do zakładowego biurowca. Bogumił M. mógłby go nie zauważyć, gdyby jego chromowana, metalowa powierzchnia nie rozbłysła nagle spośród zieleni odbitym promieniem popołudniowego słońca. Odruchem zwabionej błyskotką sroki szybko podniósł klucz, schował go do kieszeni i równie szybko o nim zapomniał. Dopiero następnego dnia zastanowił się nad

Rozwiązanie zagadki ze str. 64
pt. „Logika faktów”

nim, gdy przypadkowo natrafił palcami na jego zimny metal w kieszeni swojej kurtki.

Klucz połączony był z pilotem wyposażonym w dwa przyciski. Posiadał oznaczenia bardzo popularnego wprawdzie producenta pojazdów, ale mogło to ułatwić odnalezienie jego właściciela. Bogumił M. podjął taką próbę. Liczył na nagrodę. W trakcie godzin pracy, opuścił stanowisko i obszedł wypełniony samochodami parking znajdujący się przed zakładem. Zwracał szczególną uwagę na wszystkie zaparkowane na nim samochody marki Skoda. W pobliżu każdego takiego pojazdu uruchamiał pilota, licząc na reakcję zsynchronizowanego z nim systemu. Niestety, bez powodzenia.

Nie zrezygnował jednak. Zaplanował ponowić próbę już następnego dnia. Właściciel mógł przecież nie przyjechać w tym dniu samochodem z różnych przyczyn, choćby z powodu braku kluczyka zapasowego. Kluczyk nie musiał też zginąć pracownikowi zakładu, choć został przez Bogumiła M. znaleziony na jego terenie. Biuro odwiedzało wielu gości i klientów firmy. Bogumił M. miał tego świadomość. W drodze powrotnej, przechodząc obok biurowca, zwrócił uwagę na zaparkowane w pobliżu wejścia pojazdy. Były to wyłącznie służbowe samochody członków zarządu firmy, bo tylko takie mogły parkować na terenie zakładu. Jednym z nich była biała Skoda Superb.

Z wężem w kieszeni

Bogumił M. nie musiał nawet zbliżyć się do pojazdu. Samochód zareagował na wciśnięty przycisk pilota ukrytego w jego kieszeni już z odległości kilkunastu metrów. Krótkie szczeknięcie samochodowego alarmu i równoczesny rozbłysk jego oświetlenia potwierdzały, że wreszcie zlokalizował właściwy pojazd. Okazało się to nie takie trudne. Odnalezienie jego kierowcy mogło być jeszcze łatwiejsze. Bogumił M., podobnie jak większość pracowników, doskonale wiedział, kto był kierowcą tego auta. Był nim bowiem sam prezes zarządu, Ludwik S.

To odkrycie nie ucieszyło Bogumiła M., a jego nadzieje na nagrodę zdecydowanie osłabły. Prezes znany był z tego, że pracowników nagradzał sporadycznie i niechętnie. Dotyczyło to wprawdzie nagradzania za pracę dla dobra zakładu, ale Bogumił M. miał prawo przypuszczać, że skoro prezes „hoduje węża” w służbowej kieszeni, to i w tej prywatnej podobnego gada można się spodziewać. Nie pospieszył zatem po nagrodę, lecz w przeciwnym kierunku, żeby sobie bez pośpiechu i gruntownie to prze-



myśleć. Z przemyśleń „mu wyszło”, że skoro prezes kluczyk zgubił, a pomimo to nadal z samochodu korzysta, to niewątpliwie ma kluczyk zapasowy. „Stary” kluczyk zatem z pewnością już mu się nie przyda, Bogumiłowi M. natomiast z pewnością przeciwnie.

Spółka

Najbardziej ryzykownym elementem nowego planu było umieszczenie pojemników z wykradzionym alkoholem w samochodzie. Parking dla pojazdów zarządu znajdował się wprawdzie w sąsiedztwie ściany biurowca pozbawionej okien, ale „szperanie” w samochodzie prezesa przez szeregowego pracownika z pewnością wzbudziłoby zainteresowanie przypadkowego obserwatora. Szczęśliwie jednak dla Bogumiła M. operacja załadunku nie została zauważona i zarówno pod siedzeniem kierowcy jak i pasażera znalazł się 5-litrowy, płaski pojemnik z alkoholem. Po zamknięciu samochodu

Bogumił M. niepostrzeżenie powrócił do swoich obowiązków. Po zakończeniu pracy nieświadom swojego udziału w złodziejskim przedsięwzięciu prezes Ludwik S. wsiadł do służbowej Skody i bez kontroli opuścił zakład. Żaden strażnik dbający o swoją pracę nie odważyłby się przecież skontrolować swojego prezesa.

Już dnia poprzedniego Bogumił M. „wyśledził” z pomocą wynajętej taksówki miejsce postoju prezesowej Skody. Wyłączenie alarmu i otwarcie samochodu posiadany kluczykiem, a następnie wyładowanie pojemników wypełnionych alkoholem nie stanowiło problemu. Prezes parkował pojazd na dużym, ogólnodostępnym, osiedlowym parkingu, gdzie nikt nikogo nie znał i nikt niczym się nie interesował.

Opracowana metoda kradzieży była bardzo skuteczna i pomijając momenty załadunku, praktycznie nieobciążona ryzykiem. Bogumił M. z każdym kolejnym transportem sukcesywnie powiększał ładunek, umieszczając go w dodatkowych schowkach pojazdu. Dokładał przy tym starań, aby pojemniki nie zostały nawet przypadkowo odkryte. Kontroli się nie obawiał.

Proceder trwał przez kilka miesięcy, ku uciesze kilku wybranych podwórkowych kolegów Bogumiła M., a głównie jego samego. Dostawy były tak obfite, że ich pełne wykorzystanie przerażało możliwości konsumpcyjne nawet tak efektywnych konsumentów. Wytworzyły się nawet nadwyżki, które z łatwością były sprzedawane po atrakcyjnych cenach przez Bogumiła M. na bardzo chłonnym, lokalnym rynku.

Złośliwość losu

Okres złodziejskiej prosperity zakończyła niespodziewanie, niczym grom z jasnego nieba, rozmowa z kierownikiem.

– Mogę panu zaproponować pracę w dziale remontowym. Z wykształcenia jest pan przecież hydraulikiem, z pewnością pan sobie poradzi.

– Panie kierowniku! Wolałbym jednak zostać w dziale produkcji. Polubiłem tę pracę. Przecież nie było do mnie zastrzeżeń!

– Niestety, to niemożliwe. Redukujemy produkcję, a więc i obsadę na tym dziale. Na produkcji zostają tylko najstarsi pracownicy! Nie zwalniam pana, lecz proponuję zmianę działu właśnie dlatego, że nie było do pana zastrzeżeń. Może pan przyjąć pracę w remontowym, albo poszukać sobie zatrudnienia w innym zakładzie. Decyzja należy do pana.

Bogumił M. niechętnie, ale przyjął nową pracę, choć wiązała się ona z bolesną utratą dostępu do alkoholu. Nową sytuację uznał za złośliwość

losu. Cierpliwie skręcał jednak rury i wszystko, co mu skręcać kazano, licząc na to, że los ponownie się do niego uśmiechnie i jeszcze „zaprosi na niejednego głębszego”.

Jeszcze jedna rura

Remont systemu połączeń zbiornika magazynującego spirytus gorzelniany z urządzeniami do końcowej jego rektyfikacji, Bogumił M. miał wykonać podczas planowego postoju technicznego wspólnie z kolegą z działu remontowego. W trakcie prac kolega jednak się rozchorował i Bogumił M. musiał robotę dokończyć samodzielnie. Praca w samotności „nie szła” mu zupełnie, bo Bogumił M. miał osobowość „towarzyską”. Więcej przez to rozmyślał niż pracował. Głównie nad trzeźwością właśnie. Z tych rozmyślań „mu wyszło”, że niełatwo jest zorientować się w płataninie tych rur, kolanek i trójników nawet jemu, hydraulikowi poniekąd wykwalifikowanemu. Co dopiero nie hydraulikowi. Rur było tyle, że trudno byłoby je policzyć, nawet gdyby ktoś to potrafił. Bogumił M. znał swoich przełożonych i wiedział, że nikt z ich liczeniem trudzić się nie zechce, nawet jeśli potrafi. Założył zatem na rurze odprowadzającej spirytus dodatkowe wyprowadzenie, którego zakończenie doprowadził do pomieszczenia technicznego znajdującego się w niewielkiej piwnicy bezpośrednio pod zbiornikiem. Na zakończeniu zamontował kranik, a instalację zamaskował. Klucz do piwnicy był w wyłącznej dyspozycji działu remontowego, czyli Bogumiła M. Oczywiście, nikt niczego nie zauważył i Bogumił M. z niecierpliwością czekał na wznowienie produkcji, i wtedy wynalazek swój przetestował. Instalacja działała doskonale.

Nie była to wprawdzie żadna z wódek 40-procentowych, z których Polmos słynął, lecz spirytus dostarczony do zbiornika bezpośrednio z gorzelnii, niepoddany jeszcze procesowi końcowej rektyfikacji. Bogumił M. był już jednak na tyle doświadczonym eks-pracownikiem Działu Produkcji Wódek, aby wiedzieć, że spirytus ten nie jest w zasadzie gorszy od rektyfikowanego, a już na pewno nie jest od niego bardziej szkodliwy. Różni się nieznacznie zapachem i smakiem. Zupełnie nie różni się natomiast skutecznością działania, a to u klientów Bogumiła M. liczyło się najbardziej.

Klienci nie doczekali się jednak na pierwszą dostawę. Firma zakupiła flotę nowych samochodów i rozdzieliła je wyznaczonym pracownikom. Prezes także otrzymał nowy samochód. Skoda została natomiast sprzedana i na zawsze opuściła zakład.

Powódź

Niedługo po przerwie technicznej zakład nie spodziewanie „stanął”. Przyczyną był pusty zbiornik do przechowywania spirytusu gorzelnianego. Było to o tyle zagadkowe, że dopiero przyjęto dostawę surowca z gorzelnii i zbiornik o pojemności 22 tys. litrów wypełniony był w całości tym wysokoprocentowym alkoholem. Wyjaśnienie zagadki znajdowało się w piwnicy znajdującej się bezpośrednio pod tym zbiornikiem. Wypełniało je zresztą w całości. Spirytus zalał piwnicę aż po szczyt schodów wejściowych. Powódź odkrył w poniedziałkowy poranek pracownik działu remontowego, kolega Bogumiła M. O zdarzeniu zawiadomiono Straż Pożarną. Po wypompowaniu spirytusu odkryto w piwnicy zwłoki mężczyzny. Natychmiast został rozpoznany przez pracowników zakładu. Denatem okazał się Bogumił M.

Śledztwo wykazało, że mężczyzna zmarł w nocy poprzedzającej odkrycie jego zwłok. W piwnicy przebywał natomiast już od piątku. Ustalono, że po zakończeniu w tym dniu pracy nie opuścił jak zwykle zakładu, lecz niezauważony przez nikogo zszedł do piwnicznej części budynku. Tylko on miał klucz od pomieszczenia technicznego. Nie obawiał się więc, że jego obecność zostanie odkryta. Tam obficie raczył się alkoholem, w wyniku czego usnął lub nawet stracił przytomność. Policjanci odkryli utajnioną instalację odprowadzającą spirytus ze zbiornika. Kranik był otwarty. Długotrwały, niekontrolowany wypływ spirytusu spowodował zalanie piwnicy i utopienie się Bogumiła M. Potwierdziła to zawartość jego płuc, w których podczas sekcji wykryto spirytus pochodzący z opróżnionego zbiornika. W pomieszczeniu nie stwierdzono żadnych naczyń, które miałyby służyć do wyniesienia alkoholu z terenu zakładu, co mogło oznaczać, że mężczyzna nie planował kradzieży. Prokurator zakwalifikował zgon, jako nieszczęśliwy wypadek. Śledztwo wskazywało jednak na jeszcze jeden możliwy jego powód.

Jeden z podwórkowych kolegów denata zeznał, że Bogumił M. miał ostatnio kłopoty rodzinne. Z powodu alkoholizmu i notorycznego przepijania zarobionych w Polmosie pieniędzy, żona postanowiła zakończyć ten toksyczny związek i dla nadania powagi temu postanowieniu, wyrzuciła go z mieszkania. Mieszkał po tym zdarzeniu kilka nocy właśnie u wspomnianego kolegi, licząc na to, że żona w końcu „zmięknie” i drzwi przed nim uchyli. To jednak nie nastąpiło. Kolega przyznał, że Bogumił M. nie mógł się z tym pogodzić. Gdy wcześniej sprzedawał kra-



dzony alkohol i pieniądze skrupulatnie oddawał żonie, wszystko w tym związku funkcjonowało prawidłowo. Bogumił M. kradł, to prawda, ale dbał jednocześnie o to, żeby w domu niczego nie brakowało. Był wyjątkowym typem alkoholika, który nie tylko z domu nie wynosi, ale nawet do niego przynosi. Zdaniem mężczyzny, Bogumił M. właśnie z powodu tych problemów, a głównie z braku mieszkania, nie opuścił w piątek zakładu.

– Dokąd miał pójść, jak mu jego ślubna w jego własnym mieszkaniu zamki pozmieniała? Na ławkę do parku? U mnie mieszkać już nie chciał. Miał swój honor!

Mężczyzna pokazał policjantom kluczyk z logo Skody.

– Gdy „Monopol” wychodził w piątek rankiem do pracy, dał mi to, jak powiedział, „na pamiątkę”. Wcześniej opowiedział całą historię tego kluczyka i w ogóle. Myślę, że zaplanował zostać w zakładzie na zawsze.

– Swoją drogą – dodał z uśmiechem – jak dla alkoholika, to śmierć miał piękną... ■

Sławomir Kosmala

Personalia zostały zmienione.

OSZUSTKA

Roman BASZKIEWICZ

z małego miasteczka

Piramida finansowa to nie zawsze doskonale zorganizowana struktura przestępcza. Zdarza się, że jej pomysłodawcą, organizatorem i jedynym beneficjentem jest pojedynczy człowiek, a zyski, jakie odnosi z tej działalności, nie mieszczą się w głowie. Tak było w przypadku Barbary Makowskiej, dwudziestokilkuletniej młodej, atrakcyjnej agentki ubezpieczeniowej...



Kobieta skończyła liceum ogólnokształcące i szukała jakiejś ciekawej pracy. Najpierw zaczepiła się na kilkumiesięczną praktykę w starostwie, potem pracowała jako sekretarka w szkole, i w końcu znowu trafiła do urzędu, tym razem gminy. Chociaż bardzo się starała i chwalono ją, chociaż wszędzie dawała z siebie wszystko i chętnie zostawała po godzinach, choć nigdy nie zobaczyła za to bodaj jednej złotówki więcej, to jednak nigdzie nie udało się jej zdobyć etatu na stałe. Tymczasem ona marzyła o pracy, w której mogłaby w zamian za poświęcenie i pracowitość dużo zarabiać. Normalne ludzkie marzenia, nie tylko u progu dorosłego życia. Zrozumiała, że powinna poszukać jakiegoś innego zajęcia. Nadzieją była branża ubezpieczeniowa. Zgłosiła się do pewnej znanej, międzynarodowej firmy, po przejściu kilkutygodniowego szkolenia otworzyła własne biuro w centrum powiatowego miasteczka. Zarejestrowała własną działalność gospodarczą, ciężko pracowała, ale wreszcie zobaczyła więcej pieniędzy na swoim koncie. Jednemu to wystarczy, drugiemu nie...

Barbara Makowska wpadła na pomysł piramidy finansowej. Nigdy nie udało się ustalić, czy od samego początku myślała o przestępstwie doskonałym, czy też działała w myśl zasady „jakoś to będzie”. Przygotowanie takiego przedsięwzięcia wymaga nie tylko świetnego pomysłu, ale także ogromnego nakładu pracy. Trzeba znać psychikę zwykłych ludzi, bo tacy najczęściej padają ofiarami przestępstw, szybko rozreklamować biznes za pomocą marketingu szepotanego (czyli w myśl zasady: „jedna pani powiedziała drugiej pani”), nie mogą być to ludzie z jednego powiatu, trzeba postarać się, by przedsięwzięcie jednocześnie ruszyło w kilku regionach kraju, co gwarantuje pozyskanie w szybkim czasie wielu chętnych. Ona działała w mikroskali – bo zaledwie jednego powiatu. Zamiast psychologii postawiła na osobiste znajomości i dotychczasową renomę w branży ubezpieczeniowej.

Po pewnym czasie działalności, zaufanym klientom zaczęła składać propozycje zainwestowania pieniędzy na kilkakrotnie lepszych warunkach niż w większości oficjalnie działających banków. – *Nie każdy ma szansę skorzystania z tego programu oszczędnościowego – tłumaczyła jego specyfikę. – Jestem jednym z 21 agentów w całym kraju, którzy mają dostęp do tej bardzo atrakcyjnej oferty, która nie jest dostępna dla szeregowych pracowników naszego towarzystwa. Można całkiem nieźle zarobić, inwestycja nie wiąże się z żadnym ryzykiem, zyski są gwarantowane przez powszechnie znaną firmę ubezpieczeniową, od kilkunastu lat działającą w Polsce.*

Nie było jej w biurze, nie odbierała telefonów

Makowska za gotówkę zdeponowaną u niej na miesiąc obiecywała najpierw kilka procent zysku, a pod koniec swojej działalności nawet kilkanaście! Biorąc pod uwagę, że banki nie oferują

tyle za cały rok, nie można się dziwić, że chętnych na cudowne pomnożenie pieniędzy nie brakowało. Gdy wieści o niesamowicie lukratywnej inwestycji rozniosły się wśród lokalnej społeczności, do kancelarii kobiety zaczęło napływać coraz więcej „inwestorów”, którzy lokowali u niej coraz większe, często oszałamiające kwoty pieniędzy. Ludzie Ignęli do niej jak muchy do miodu i wpłacali po kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt... a rekordziści po kilkaset tysięcy złotych. Pierwsi klienci, którzy powierzyli szefowej limanowskiej kancelarii ubezpieczeniowej pieniądze, a potem zainkasowali nieprawdopodobnie wysokie odsetki od zdeponowanego kapitału, polecali usługi Barbary Makowskiej rodzinie, przyjacielom, znajomym.

– *Można całkiem nieźle zarobić, inwestycja nie wiąże się z żadnym ryzykiem, zyski są gwarantowane przez powszechnie znaną firmę ubezpieczeniową, od kilkunastu lat z powodzeniem działającą w Polsce – przekonowywali i zachęcali kolejnych inwestorów.*

Taki szeptany marketing jest bardzo skutecznym sposobem pozyskiwania nowych klientów... i nie inaczej było w tym przypadku. Ludzie przychodzili do agencji w centrum miasta i dopiero w trakcie rozmowy z właścicielką w cztery oczy, pytali się o możliwość zainwestowania pieniędzy na bardzo atrakcyjnych warunkach. I nie widzieli w tym nic podejrzanego, wszak najlepszą rekomendacją byli ich znajomi, którzy zainkasowali już bardzo wysokie procenty od lokat. Mało tego, na wystawianych przez nią drukach, które były pokwitowaniem przyjęcia pieniędzy jako depozyty, widniało logo znanej firmy ubezpieczeniowej, a szefowa posługiwała się jego pieczętkami, co dodatkowo zwiększało wiarygodność całego przedsięwzięcia. Wszystko wydawało się jak najzupełniej legalne, nikt nie miał podstaw, aby podważać wiarygodność całego przedsięwzięcia. Tym bardziej że pani Barbara była osobą znaną na tamtym terenie, ludzie mieli do niej zaufanie, pracowała kiedyś w urzędzie. Czy ktoś taki mógł wpaść na pomysł oszukańczego przedsięwzięcia, którego skala zaskoczyła i prokuraturę, i policjantów? Nie uprzedzamy jednak faktów...

Jak w każdej piramidzie początkowo interes kręcił się całkiem dobrze. Ludzie wpłacali pieniądze na wysoki procent, odbierali gotówkę i najczęściej zachęceniem premią ponownie wszystko inwestowali, niekiedy dopłacali jeszcze dodatkową kwotę. Wszyscy byli zadowoleni, przybywało chętnych do lokowania pieniędzy w przedsięwzięciu prowadzonym przez panią Basię. Nagle jesienią, w tym doskonale funkcjonującym mechanizmie, pojawiły się pierwsze zgrzyty. Kolejnym klientom skończyły się lokaty i oczekiwali oni zwrotu zainwestowanego kapitału wraz z odsetkami. Mieli z tym problemy, bo pani Basi nie było w biurze, albo nie odbierała telefonu. Nikt wtedy jeszcze nie podejrzewał, że padł ofiarą wyrafinowanego i gigantycznego oszustwa. Kobieta do końca ich zwodziła. Jednym tłumaczyła, że to wszystko przez warszawską centralę firmy, która – rzekomo – miała zarządzać zebranymi pieniędzmi, innych przekonowywała, że pośrednik, przez którego kontaktuje się z biurem maklerskim, pilnie wyjechał w interesach

do Niemiec i wróci za kilka dni, a wtedy na pewno ureguluje wszelkie zobowiązania... Mijały kolejne dni, a pieniędzy jak nie było, tak nie było! Kiedy szanse na zwrot pieniędzy spadły do zera – dopiero wtedy zdecydowali się powiadomić policję o oszustce.

Wiadomość o zniknięciu Barbary Makowskiej rozeszła się wśród jej klientów po stokroć prędzej niż kilkanaście miesięcy wcześniej informacje o wyjątkowo łatwej okazji do szybkiego zarobku. Oszukani ludzie zaczęli masowo zgłaszać się do miejscowej komendy policji. Sprawa zataczała coraz szersze kręgi. Co gorsza, klienci dowiedzieli się, że towarzystwo ubezpieczeniowe, którego rzekomo reprezentantem miała być ta kobieta, wyparło się z nią jakiegokolwiek związku. W tym momencie wszystko stało się jasne. Mit o nadzwyczajnych zyskach i superznajomościach obrotnej biznesmenki pękł jak bańka mydlana. W pewnym momencie chętnych do złożenia zeznań było tak wielu, że trzeba było wyznaczać terminy przyjmowania zgłoszeń o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Wdrożono śledztwo, bo wszystko wyglądało na duże oszustwo.

Szefowa kancelarii ubezpieczeniowo-inwestycyjnej sama zgłosiła się na policję, kilka dni później. Wkrótce potem prokuratura przedstawiła jej zarzut wyłudzenia: najpierw 3 milionów złotych. Potem suma ta rosła, by w efekcie zamknąć się kwotą ponad 13 milionów złotych. Największym fenomenem tego procederu jest fakt, że wśród ofiar znaleźli się lokalni politycy, biznesmeni, prawnicy oraz ekonomiści! Zadziwiające jest, że nikt z nich nie wpadł na pomysł szczegółowego sprawdzenia osoby, której powierzali nierządno majątek swojego życia. Jedynym gwarantem rzetelności 27-letniej kobiety była ciągnąca się za nią opinia, że ma układy w jakimś towarzystwie ubezpieczeniowym, dzięki czemu błyskawicznie pomnaża pieniądze.

Nie myślałam, że Baśka może być oszustką na tak szeroka skalę

Słedczy, którzy rozpracowywali piramidę finansową Barbary Makowskiej, przez kilkanaście miesięcy próbowali ustalić, co stało się z powierzonymi kobiecie pieniędzmi. Jest więcej niż pewne, że całkiem spora ich część została gdzieś ukryta. Bo ile można wydać na luksusowe życie w Polsce przez kilkanaście miesięcy? Wprawdzie kilka razy wyjeżdżała do drogich hoteli i SPA, ale łączne koszty pobytu w tych miejscach nie przekraczały kilku tysięcy złotych. Poza tym ani nie zbudowała sobie luksusowej rezydencji, nie latała samolotem na weekendowe zakupy do Paryża, czy Rzymu, nie jeździła „wypasionymi” samochodami za kilkaset tysięcy złotych sztuka. Szacuje się, że około pół miliona złotych wypłaciła jako odsetki pierwszym szczęśliwcom, co miało być wabikiem dla pozyskiwania następnych klientów... A gdzie reszta pieniędzy? Wszak w grę wchodzi kilkanaście milionów złotych!

Analizując składane przez nią wyjaśnienia można dojść do wniosku, że młoda dziewczyna została

przestępcą przez przypadek. – Byłam za głupia, za mało doświadczona, żeby wiedzieć, że nikt nie otwiera przed tak młodą osobą tylu drzwi, tylu możliwości. Wtedy chciałam w to wierzyć. Zawsze widziałam w ludziach dobro. Ale widziałam też, ile pracy i poświęcenia mnie ta praca kosztuje.

Dokładna analiza jej prywatnego laptopa i komputerów w biurze, jak również kilku kart SIM, zabezpieczonych w trakcie śledztwa, nie przyniosła odpowiedzi na pytanie, gdzie przetransferowano pieniądze oszukanych klientów. Sprawdzono kilkadziesiąt banków, biur maklerskich i funduszy inwestycyjnych w nadziei, że podejrzana przechowuje tam zagrabione pieniądze. Nigdzie tam nie założyła depozytów, więc możliwe są dwa rozwiązania: albo ukryła je w „banku ziemskim” (co biorąc pod uwagę jej przebiegłość jest raczej mało prawdopodobne), albo ktoś ze znajomych albo przyjaciół wyświadczył jej przysługę za odpowiednim wynagrodzeniem i zdeponował na swoje nazwisko.

To, co najbardziej bulwersuje w tej sprawie, to całkowity brak skrupułów u młodej kobiety, która ofiar szukała nawet wśród rodziny, przyjaciół i znajomych. Zawsze elegancko ubrana, elokwentna, miała duży dar przekonywania. W okolicy, podobnie jak i w siedzibie powiatu była osobą dość znaną i lubianą. Pochodziła ze znanej inteligentnej rodziny, niektórzy znali ją z czasów, kiedy była małą dziewczynką. Od kiedy w „cudowny” sposób zaczęła pomnażać pieniądze, jej notowania bardzo wzrosły. Ludzie, którzy powierzali jej środki finansowe, mogli odnieść wrażenie, że należą do elitarniej grupy wybrańców, którzy mają szansę skorzystać z niepowtarzalnej okazji szybkiego zarobienia dużych pieniędzy. To nobilitowało w miejscowych sferach.

– *Wszystko wyglądało bardzo wiarygodnie, nikomu nie przyszło do głowy, że Baśka może być oszustką na tak olbrzymią skalę* – stwierdziło w trakcie śledztwa kilku poszkodowanych. – *Szeptana reklama w miasteczku głosiła, że ma nie wiadomo jakie układy w bankach w Warszawie i dlatego może oferować niewiarygodnie wysokie procenty. Każdy wiedział, że jest od kilku lat związana z branżą finansową, więc wszystko układało się w logiczną całość. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby ją sprawdzać, zresztą jak? Zналиśmy ją od małego, zналиśmy jej rodzinę, nie była człowiekiem znikąd, tylko jednym z nas. Wiedzieliśmy, że nie zniknie z dnia na dzień, bo i gdzie. Bezgranicznie jej zaufaliśmy i to był nasz największy błąd. Nikomu nie przyszło do głowy, że dziewczyna „z sąsiedztwa” może oszukać „swoich”.*

– *Każdy chyba myślał, że ona działa legalnie – przyznała jej kolejna ofiara. – Przecież miała eleganckie biuro, druki z firmy, która reklamowała się w telewizji, na zawieranych umowach wpisywała numer zezwolenia. Teraz niektórzy dziwią się, że bezgranicznie jej zaufaliśmy. A jak oddaje pan samochód do autoryzowanego serwisu to sprawdza pan, czy ma on wszystkie zgody i zezwolenia? W życiu trzeba przecież komuś wierzyć!*

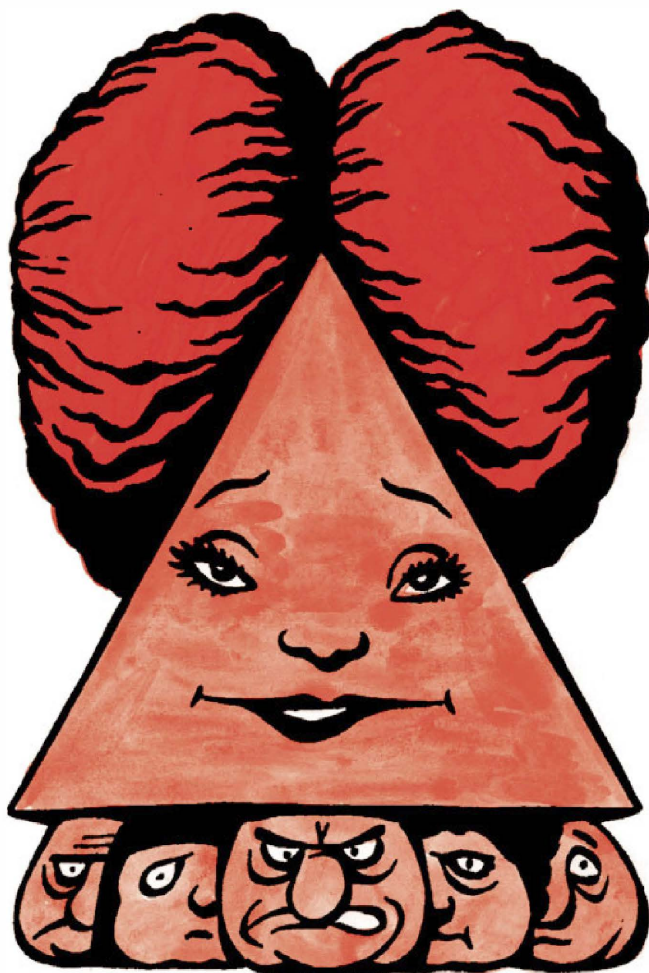
Maciej Zakrzewski zjawił się w biurze Makowskiej, by ubezpieczyć kilka samochodów w swojej firmie.

Pani Basia zaproponowała kawę, bo wypełnienie wszystkich dokumentów zajmowało przynajmniej pół godziny. W międzyczasie rozmawiali o biznesie i interesach. W pewnym momencie agentka ubezpieczeniowa wspomniała mu o możliwości założenia lokaty na bardzo atrakcyjnych warunkach. W czasach kiedy oprocentowanie w bankach jest śmiesznie niskie, każdy kto ma nadmiar gotówki, szuka okazji do lepszego jej pomnożenia. Kobieta namówiła go, a on następnego dnia wpłacił sto tysięcy złotych. Kiedy trzy tygodnie później wypłaciła mu pięć tysięcy odsetek, zapytała, czy ma ochotę przedłużyć depozyt na następny miesiąc. Nie tylko ochoczo skorzystał z okazji, ale „dorzucił” kolejne dwieście tysięcy. Szybko liczył zyski – wyszło mu ponad piętnaście tysięcy złotych. To jednak były tylko wirtualne wyliczenia. W rzeczywistości nic nie zarobił, ale co gorsza stracił cały kapitał... Przedtem jednak nieświadomie wciągnął w ten biznes swojego przyjaciela – Andrzeja Klimczaka, który dopiero co sprzedał gospodarstwo rolne odziedziczone po swoich rodzicach...

★ ★ ★

Pan Andrzej od pewnego czasu zastanawiał się, co zrobić z gotówką i wtedy znajomy wspomniał mu o pani Barbarze, właścicielce agencji ubezpieczeniowej, która zaufanym klientom proponuje niezwykle korzystne finansowo lokaty. – Jak chcesz, mogę cię do niej polecić. Zresztą sam ulokowałem u niej trochę grosza – wspomniał mu przy okazji spotkania w pubie. Klimczak zainteresował się tą propozycją. Po pierwszej rozmowie z „bankierką” powierzył jej „na próbę” 50 tysięcy złotych na dwa tygodnie. Kiedy po upływie tego czasu zainkasował dwa tysiące odsetek przekonał się, że to doskonały interes i podwoił wysokość kolejnego depozytu. Widział je po raz ostatni, kiedy wręczał je do rąk pani Barbary. Tym razem nie otrzymał „certyfikatu” ich zdeponowania, a ponieważ głupio mu się było upominać, machnął ręką na taki szczegół. Przecież w interesach najważniejsze jest zaufanie, a młoda kobieta była taka przekonująca!

Każdy tego typu przypadek jest inny, łączy je fakt oszustwa i bezpowrotnej straty pieniędzy. Ludzie, by zdobyć dodatkowe pieniądze, nie tylko likwidowali lokaty bankowe, ale niektórzy sprzedawali samochody, ziemię, mieszkania, zadłużali się u rodziny albo znajomych. Wpłacali pieniądze pani Basi nie tylko w jej kancelarii, ale także w przydrożnej restauracji, gdzieś na parkingu, zdarzało się, że pani Basia osobiście przyjeżdżała do nich do domu po pieniądze. Z ujawnionych przypadków najbardziej bulwersuje chyba historia jej byłego nauczyciela z gimnazjum. Mężczyzna miał ciężko chorą córeczkę, zbierał pół miliona złotych na jej leczenie. Wyciągnęła od niego dwieście tysięcy złotych, dodatkowo namówiła, by wziął jeszcze sto tysięcy złotych kredytu. Mamała, że za kilka miesięcy będzie miał wszystkie niezbędne środki na rehabilitację córeczki. Dziś nie ma żadnych pieniędzy, żadnej nadziei na sfinansowanie leczenia,



pozostały mu jedynie długi do spłacenia i bezsilna żość i żal... że uwierzył tej młodej kobiecie.

Powie ktoś, że ofiary Barbary Makowskiej są same sobie winne. To prawda! Naiwnych nie sieją, sami się rodzą – mówi znane porzekadło i sporo w tym prawdy. Może dziwić, że niektórych ludzi nie zaniepokoił fakt, że kobieta brała od nich pieniądze w kopertach i wrzucała je bezpośrednio do szuflady w biurku... bez przeliczenia zawartości. A jeśli ktoś wyrażał z tego powodu zdziwienie, tłumaczyła mu: „wierzę, że kwota się zgadza, przecież musimy sobie ufać, nieprawdaż”... Zaufanie to bardzo ważna rzecz, ale tam gdzie w grę wchodzi rozliczenia pieniężne, potrzebna jest sumienność, dokładność i precyzja! U nikogo nie zapalił się sygnał ostrzegawczy, że kobieta inkasuje gotówkę w czasach, kiedy niemal wszyscy dookoła preferują przelewy bankowe, szczególnie kiedy w grę wchodzi dziesiątki, a nawet setki tysięcy złotych.

Posiedzi trochę w więzieniu, ale będzie ustawiona do końca życia

Oskarżona polemizowała z prokuratorskim zarzutem, że z oszustwa uczyniła sobie stałe źródło dochodu. Zapewniała, że nie miała takiego zamiaru: – *Uczciwie pracowałam, nie chciałam nikogo oszukać. Akurat w tamtym czasie nie byłam w stanie oddać wszystkim całości ich pieniędzy. Globalny*

kryzys ekonomiczny odcisnął piętno także na mojej działalności. Przecież wskaźniki giełdowe na całym świecie dołowały w niesłychanym tempie. Siłą rzeczy musiało się to odbić również na lokatach moich klientów. Gdyby uzbrolili się w cierpliwość i przeczekali ten najgorszy okres, z pewnością nie byłoby tak źle. Szkoda, że mi nie zaufali, szkoda, że puścili im nerwy i nagle prawie wszyscy zaczęli oczekiwać zwrotu powierzonych mi pieniędzy.

Proces w tej sprawie toczył się przed sądem okręgowym przy drzwiach zamkniętych, dlatego nie znamy żadnych jego szczegółów. Przedsiębiorca „bankierka” została skazana na dziewięć lat pozbawienia wolności, ponadto nałożono na nią obowiązek naprawienia szkody w całości poprzez zapłatę pokrzywdzonym odszkodowania. Na pewno nie udało się wyjaśnić, co stało się z powierzonymi jej pieniędzmi

W małym, powiatowym miasteczku ludzie przyjęli wyrok z mieszanymi uczuciami. Rzadko kto jej współczuł, częstsze były słowa oburzenia dla jej działalności:

– *Za mały wyrok dla takiej hieny, która się wzbogaciła na ludzkiej krzywdzie! Ze też nie ma sposobów na takich oszustów. Posiedzi kilka lat w więzieniu, wyjdzie na wolność i będzie już ustawiona do końca życia.*

– *Ciekawe gdzie ulokowała skradzione ludziom pieniądze?*

– *Ludzie są sami sobie winni, lokując pieniądze w tak nierozsądny sposób. Niestety takie mamy prawo, a wystarczyło za niewielki procent poprosić o interwencję chłopaków ze Wschodu, co to przykładają wiertarkę do kolana i pieniądze byłyby na pewno oddane na drugi dzień...*

Barbara Makowska złożyła apelację od orzeczonej kary, zarzucając sądowi pierwszej instancji niewłaściwe ustalenie wysokości szkody oraz rażąco surową karę. Wnosiła o uchylenie wyroku do ponownego rozpoznania lub jego zmianę i złagodzenie kary, która – według niej – powinna być o wiele niższa. – Uplynęło już dużo czasu, nie wszystko pamiętam. Byłam wtedy młoda, nie wszystko rozumiałam, w tym momencie inaczej postrzegam swoje zachowanie – przekonywała na sali sądowej, walcząc o mniejszą karę.

Sędziowie sądu apelacyjnego nie podzielili jej argumentacji. Według nich wyrok sądu pierwszej instancji był doskonale udowodniony, czego najlepszym dowodem było ponad osiemset stron maszynopisu, na którym spisano uzasadnienie. Stąd decyza o niezmiennianiu zasądzonej kary. – *Nie można mówić, że wyrok jest zbyt surowy* – stwierdził sędzia w ustnym uzasadnieniu. – *Wręcz przeciwnie: jest on sprawiedliwy i oddaje stopień winy oskarżonej. Gdyby poważnie traktowała ona swoje zobowiązania, pobięłaaby od klientów potwierdzenia wpłat i wypłat.*

Uczymy się na błędach, ale...

Działalność Barbary Makowskiej to przykład parabanku, jakich wiele namnożyło się w ostatnich latach. Apogeum ich działalności w Polsce

przypada na lata 90. ubiegłego stulecia; doliczono się wtedy ponad 40 mniejszych i większych tego rodzaju instytucji finansowych. W wolnej Polsce jak grzyby po deszczu pojawiali się „geniusze” biznesu oferujący cudowne i błyskawiczne pomnożenie powierzonych im pieniędzy. Niektórzy byli obsypywani nagrodami dla najlepszych przedsiębiorców, zaś ich firmy promowano jako wzór do naśladowania. Powszechnie wydawało się, że swoje biznesy budowali na profesjonalizmie, reputacji i zaufaniu. Dopiero z czasem okazywało się, że za fasadą wielkich imperiów stały kolosy na glinianych nogach. Mechanizm zawsze był taki sam: pierwsi klienci często dostawali duże kwoty jako odsetki... bo był to najlepszy sposób na złowienie następnych naiwnych. Interes się kręcił, dopóki kolejni chętni wpłacali fundusze, bowiem z ich pieniędzy wypłacano zyski tym, którzy zainwestowali wcześniej. Skuszeni obietnicami dużych zarobków inwestorzy, często niemający pojęcia o finansach, powierzali swoje oszczędności takiemu „bankierowi”, który jednak pieniędzy nie inwestował, a jedynie finansował za ich pomocą bieżące wypłaty. Ostatni, którzy wpłacili pieniądze, nie mieli szans ani na wysokie zyski, ani nawet na odzyskanie zainwestowanego kapitału. „Wygranymi” zawsze byli ci, którzy rozkręcili biznes – na maksymalnym etapie jego rozwoju, albo w momencie kiedy pojawiało się widmo bankructwa, zwiłali interes lub uciekali daleko w świat z walizkami pełnymi pieniędzmi.

Na przełomie wieków działalność parabanków osłabła. Z jednej strony było to efektem edukacji ekonomicznej Polaków, których coraz trudniej było omamić podejrzanymi przedsięwzięciami, z drugiej strony – coraz więcej rodaków inwestowało pieniądze na giełdzie i w fundusze inwestycyjne. Można było odnieść wrażenie, że Polacy pomni złych doświadczeń z parabankami i piramidami finansowymi, które były udziałem wielu rodaków, będą bardziej rozsądni w inwestowaniu ciężko zarobionych pieniędzy. Wszak praw ekonomii nie da się przeskoczyć, i póki co nie wymyślono sposobu na „cudowne” pomnożenie gotówki. Minęło jednak kilka lat i Polską wstrząsnęła afera firmy Amber Gold. W tej sprawie nie zapadł jeszcze wyrok sądowy (na razie nie wiadomo, kiedy autorzy tego przedsięwzięcia staną przed wymiarem sprawiedliwości!)

Oszust wszech czasów?

Najsłynniejszym twórcą finansowej piramidy ostatnich lat jest Bernard Madoff. Przez ponad dwie dekady oszukiwał bogatych Amerykanów, których stać było na ulokowanie w jego prywatnym funduszu inwestycyjnym olbrzymich kwot. Uchodził za nobliwego starszego pana, a jednocześnie za jeden z największych autorytetów w sprawach ekonomii i finansów. I aż nie chce się wierzyć, że człowiek ten przed pół wiekiem był zwykłym ratownikiem na plaży, a potem pracował jako instalator podziemnych systemów nawadniania. Jednak już wtedy miał głowę do interesów – pierwsze zarobione kilka tysięcy dolarów zainwestował w firmę, zajmującą się obro-

tem akcji firm nienotowanych na giełdach. Szło mu to doskonale, pomnażał pieniądze, które powierzali mu inni ludzie. Z roku na rok zwiększała się skala prowadzonych przez niego interesów, aż zaczął uchodzić za „cudotwórcę” na giełdzie, bo niezależnie od sytuacji na rynku jego fundusz zapewniał stały zwrot z inwestycji.

Do grona jego klientów należały banki z całego świata, sławy filmu, organizacje charytatywne oraz liczni biznesmeni, jak np. amerykański miliarder Mortimer Zukerman, magnat na rynku nieruchomości i właściciel dziennika „New York Daily News”. Jedną z możliwości aby przystąpić do funduszu Madoffa była czyjaś rekomendacja. Informacje o funduszu roznosiły się na elitarnych przyjęciach oraz w prestiżowych klubach golfowych. Czas pokazał, że jego „osiągnięcia” przyćmiły niemal wszystkich oszustów, parających się tym procederem w ostatnich dziesięcioleciach. Był bardzo przekonujący, często mówiło się o nim mistrz autokreacji lub „geniusz z Wall Street”. To dlatego ciągle znajdował nowych inwestorów, którym obiecywał przynajmniej 12 procent rocznego zysku od powierzonego kapitału. Madoff nie przyjmował pieniędzy od wszystkich. Wielu odprawiał z kwitkiem, co dla innych było potężnym bodźcem, żeby koniecznie ulokować gotówkę właśnie u niego.

Gigantyczny, a jednocześnie oszukańczy interes kręcił się wraz z amerykańską gospodarką. Kiedy zaczęła ona zwalniać, pojawiła się groźna recesja i „czarne chmury” zaczęły się również zbierać nad jego przedsięwzięciem. Wraz z nadciągającym kryzysem, inwestorzy coraz częściej próbowali wypłacać zyski, które mieli na papierze. Wtedy okazało się, że Madoff ich nie ma. W chwili aresztowania w dokumentach finansowych Bernarda Madoffa widniało ponad 4900 rachunków z ponad 60 miliardami dolarów nieistniejących inwestycji!

Według szacunków amerykańskiej prokuratury skalę całego przedsięwzięcia można wycenić na prawie 65 miliardów dolarów(!), a inwestorzy, którzy powierzyli swoje pieniądze Madoffowi, stracili około 35 miliardów dolarów, z czego udało się odzyskać zaledwie 8 miliardów. Niektórzy analitycy uważają, że straty jakie poniosły banki na inwestycji w fundusz Madoffa mogły stać jedną z przyczyn globalnego kryzysu finansowego.

Bernard Madoff 29 czerwca 2009 roku został skazany na 150 lat więzienia, czyli maksymalny wyrok za tego typu „działalność”. W tym momencie na sali sądowej rozległy się brawa, choć jego adwokat przekonywał, że ofiary Madoffa są „zaślepienie żądzą zemsty”. Ale chyba nie ma się co im dziwić!

★ ★ ★

Niestety, ani działalność naszych lokalnych oszustów, ani tych wielkich w rodzaju Bernarda Madoffa, nie jest dla ludzi żadną nauką. Plagą ostatnich lat w internecie są programy inwestycyjne o wysokiej stopie zysku, bardziej znane pod skrótem HYIP (skrót od angielskich wyrazów High Yield Investment Program). Istnieją one od wielu



dziesięcioleci, były one jednak dostępne jedynie finansowej elicie, minimalne wkłady wynosiły miliony dolarów, a poza tym trzeba było mieć znakomite „dojścia”. W czasie powszechnego dostępu do internetu pojawiło się wiele dziwnych firm, oferujących zyski nawet na poziomie kilku procent dziennie od zainwestowanego kapitału. Inwestycje typu HYIP polegają na oferowaniu za pomocą stron internetowych programów inwestycyjnych o nieproporcjonalnie wysokiej stopie zwrotu osiąganego w bardzo krótkim czasie. Niektóre programy tego typu działają bardzo długo, nawet pół roku i dłużej, a także mają niezależne od instytucji finansowych nazwy niezwiązane z bankami. Oszuści sugerują powiązania ze znanymi instytucjami finansowymi i sektorem bankowym. Wystarczy wpłacić pieniądze na konto bankowe gdzieś w Panamie albo na Kajmanach i liczyć na zyski... Niestety bardzo często takie programy działają bardzo krótko, a ich pomysłodawcy związają interes i wszelki ślad po nich ginie.

Naiwnych nie sieją, sami się rodzą. Nic dziwnego, że interes kręci się doskonale! ■

Roman Baszkiewicz

Imiona i nazwiska (z wyjątkiem Bernarda Madoffa) zostały zmienione.

Urzędnicze pozycje

Mirosław KOTALA

W biznesowych kręgach miasta rozeszła się wieść, że w miejskim urzędzie „da się” wiele załatwić. Wieść rozchodziła się głównie za sprawą prezesa Jerzego K., który reklamował siebie, jako doskonale ustosunkowanego pośrednika w postępowaniach przetargowych urzędu miejskiego.



Dominik B. po urzędowych korytarzach chadzał z czołem uniesionym stosownie do zajmowanego w urzędzie stanowiska, czyli wysoko. Urzędniczej drobnicy przez to uniesienie zwykle nie dostrzegał. Dla 22-letniej początkującej urzędniczki Justyny A., zrobił jednak wyjątek i zrobił go z przyjemnością. Powodem wyjątku mógł być wspomniany wiek urzędniczki lub jeszcze niewspomniana jej wyjątkowa uroda. Mogło być jedno i drugie razem, bo takie połączenie kobiecych zalet posiada niezwykłą moc oddziaływania na większość mężczyzn w wieku średnim i nie tylko. Dominik B. z pewnością zaliczał się do tej większości.

W wyniku tego oddziaływania Justyna A. awansowała „poza kolejnością”, rozpoczynając tym swoją błyskotliwą karierę w urzędzie miejskim. W życiu prywatnym swojego szefa jednak nie awansowała, bo Dominik B. posiadał tymczasem żonę, która taką „karierę” z przyczyn oczywistych ograniczała. Dziewczyna była wdzięczna i za to, co ją za sprawą szefa dotknęło. Z powodów praktycznych okazywała to już poza urzędem, bez świadków i bez wiedzy prawowitej małżonki. Urzędnicy miejscy, choć niczego nie widzieli i nie słyszeli, to wiele sobie wyobrazili. Od plotek, na temat wykorzystania przez Dominika B. stanowiska i młodej, atrakcyjnej pracownicy, w urzędowych pokojach aż huczało.

Przetarg

O ile Dominik B., jako szef i małżonek nie mógł stanowić wzoru od naśladowania, to jako urzędnik państwowy jak najbardziej. Pokus natomiast, jak to w urzędzie, nie brakowało. Z racji stanowiska zajmował się w urzędzie sprawami szczególnie korupcjogennymi, bo przetargami. Przygotowywał dokumentacje przetargowe dla podmiotów zainteresowanych świadczeniem licznych dostaw i usług dla urzędu miasta oraz zasiadał w komisjach rozpatrujących oferty przedsiębiorców.

Przetarg na ochronę siedziby urzędu miasta również przygotował z należytą, jak zawsze starannością. Przetarg wygrała pewna nieznana firma z innego miasta, oferująca zdumiewająco niską cenę usługi. Doskonale znający rynkowe realia Dominik B. podejrzewał, że ociera się ona o granice opłacalności, lub nawet ją przekracza. Firma spełniała jednak wszystkie wymagane kryteria i umowa została podpisana. Dominik B. nie miał sobie nic do zarzucenia i po dobrze wykonanej robocie powinien w spokoju sypiać u boku żony lub równie spokojnie nie sypiać u boku Justyny A. Tak jednak nie było. Po pewnym zaskakującym wyznaniu swojej młodej kochanki, utracił bowiem wszelki spokój i żaden z wymienionych kobiecych

boków, tudzież innych niewymienionych okolicznych atrakcji, nie mógł tego zmienić.

Radosne wyznanie

Justyna K. wyznała bowiem swojemu kochankowi i szefowi w jednym, że posiada tatusia Marka o tym samym oczywiście nazwisku K. Tatusz z kolei posiada niedużą firmę ochraniarską o mało znanej jeszcze marce, która ma ambicje być większa i bardziej znana. Jest na najlepszym ku temu drodze, bo właśnie podpisał atrakcyjny kontrakt na ochronę. Dominikowi B. nazwa firmy była jednak dobrze znana, bo kontrakt, o którym wspomniała Justyna K., dotyczył siedziby urzędu miasta, a zawarty został w wyniku niedawno zakończonego przetargu, przygotowywanego właśnie przez niego. Radości Justyny K. nie podzielał zaś tylko dlatego, że rodzinne powiązania jego młodej kochanki, mogłyby sugerować wpływ jego związku z dziewczyną na wynik przetargu. Już samo podejrzenie „ustawienia” przetargu mogłoby zrujnować jego karierę. Dowody nie były władzom miejskim potrzebne. Dominik B. doskonale pamiętał okoliczności, jakie towarzyszyły odejściu z pracy jego poprzednika urzędującego na tym samym stanowisku. Justyna K. nie rozumiała jednak, bądź nie chciała zrozumieć trudnej sytuacji, w jakiej znalazł się jej szef-kochanek.

– Musimy się rozstać – stanowczo oświadczył Dominik B.

Ku zaskoczeniu Dominika B., młoda kobieta nie miała nic przeciw temu:

– No, jeżeli już mnie nie kochasz...

– Oczywiście, że cię Kocham! – gorąco zapewnił Dominik B.

Okazało się, że na skutek mało precyzyjnego oświadczenia mężczyzny, do związku wkrađło się nieporozumienie. Dominik B. nie zamierzał rezygnować z Justyny K., jako kochanki, bo kwalifikacje do tej roli miała niewątpliwie...

– Musisz odejść z pracy w urzędzie! – doprecyzował.

Tym razem Justyna K. wyraziła swój zdecydowany sprzeciw, wyrażając się o swoim szefie-kochanku bardzo nieurzędowo. Oświadczyła, że z pracy odchodzić nie zamierza, bo czuje silne powołanie do urzędniczego zawodu i wiąże z nim swoją przyszłość. Do Dominika B. natomiast nic już nie czuje, nic z nim nie wiąże i bez żalu może od niego odejść. Ostrzegła jednocześnie, że gdyby Dominik B. usiłował zwolnić ją z pracy, wykorzystując swoje służbowe możliwości, to ona pójdzie gdzie trzeba i powie prawdę o ich związku, tatusiu i „ustawionym” przetargu. Wówczas z pewnością nastąpi rozstanie, bo nikt nie będzie zatrudniał w urzędzie pracownika zamieszanego w „ustawianie” przetargu, nawet jeżeli nie będzie dowodów na to, że cokolwiek „ustawiał”.

Tatuś

Po paru dniach w gabinecie Dominika B. pojawił się mężczyzna, który przedstawił się jako Jerzy K. – też prezes. Jak na petenta zachowywał się niestandardowo, bo już od samego wejścia bardzo swobodnie. Wyostrzyło to czujność Dominika B., co nie uchroniło go przed przyjacielskim poklepywaniem pleców przez przybysza.

– Właściwie powinienem ci mówić... synu – wypalił Jerzy K. – też prezes, równocześnie z ostatnim klepnięciem.

Dominik B. był doświadczonym urzędnikiem. Niejednego petenta już widział i słyszał. Niejednego już z gabinetu wyprowadzał osobiście, bardziej opornych przy pomocy ochrony.

– Wyjdzie pan sam, czy mam wezwać ochronę? – postawił twarde ultimatum.

Pomogło o tyle, że Jerzy K. odstąpił od dalszego poklepywania. Roześmiał się lekceważąco.

– Ochronę? Chcesz mnie wyprowadzić? Żartujesz sobie? To ja jestem ochrona! – zadrwił Jerzy K., siadając wygodnie w urzędowym fotelu.

Dominik B. teraz dopiero zwrócił uwagę na nazwisko prezesa Jerzego K. To samo nazwisko nosiła Justyna. W fotelu przed jego biurkiem siedział uśmiechając się drwiąco ojciec Justyny K. i zarazem prezes firmy realizującej ochronę obiektu urzędu miasta.

– Z pana córką nic mnie nie wiąże! – Dominik B. rozpoczął obronę wyprzedzającą spodziewany atak.

Atak jednak nie nastąpił. Jerzy K., prezes i ojciec przyznał, że wie, a nawet cieszy się z tego, że córka zmadrzała i sama zerwała z niemal dwukrotnie starszym, i do tego „beznadziejnie” żonatym mężczyzną. Jednocześnie doskonale rozumie, że dalsza praca córki w urzędzie jest dla Dominika B. niewygodna.

– Doskonale rozumiem, że gdyby ktoś powiązał moją firmę z pracującą w urzędzie córką, jej związkiem z szefem odpowiedzialnym za ten nieszczęsny przetarg, to... To bomba z opóźnionym zapłonem! Nigdy nie wiadomo, kiedy wybuchnie i kogo przy tym rozszarpie.

Jerzy K. nie tylko, jak wspomniał, to rozumiał. Zapewnił nawet, że potrafi w tym kłopotcie pomóc.

– Przekonam córkę, aby odeszła z pracy w urzędzie. Znajdę dla niej ciekawsze zajęcie.

Dominik B. ledwie powstrzymał się przed uściskaniem wybawcy. Rzucił standardowe: „nie wiem jak mam panu dziękować” i podniósł się z wyciągniętą ręką, zamierzając zakończyć rozmowę i całe krępujące spotkanie.

Jerzy K. nie podniósł się jednak z fotela i dłoni nie uściśnął.

– Ale ja wiem... Ja wiem, jak może pan podziękować.

Dominik B. usiadł pełen najgorszych obaw. Niebawem okazało się, że obawy były jak najbardziej uzasadnione.

Jerzy K. oświadczył, że nie jest tajemnicą, że urząd przygotowuje się do kolejnego przetargu na ochronę swoich obiektów. Tym razem wartość przedmiotu przetargu jest znacznie wyższa i spodziewany kontrakt znacznie bardziej atrakcyjny dla wykonawcy usługi ochrony. Postawił sprawę jasno. Jeżeli jego firma wygra ten przetarg, to córka odejdzie z pracy w urzędzie po cichu i na zawsze! Jeżeli nie wygra, Justyna nie odejdzie nigdy, a w urzędzie zrobi się głośno.

Firma Jerzego K. przetarg oczywiście wygrała i to bardzo dla siebie korzystnie. Była bowiem jedyną spełniającą oczekiwania urzędu miasta, zaś oferty innych starających się o kontrakt podmiotów, nawet korzystniejsze finansowo, nie zostały przez komisję wybrane. Komisji przewodniczył oczywiście Dominik B.

Nie spotkała go jednak spodziewana nagroda. Justyna K. nie odeszła z pracy, bo jak stwierdziła: „Ona się na to nie umawiała, jest dorosła i ojciec nie będzie jej mówił, co ma w życiu robić”. Spotkała go jednak nagroda niespodziewana. W ramach rekompensaty za niedotrzymanie przez ojca umowy, a może bardziej z powodu „nagłego nawrotu uczucia”, Justyna K. wróciła do Dominika B. Mężczyzna przyjął uczucie i rekompensatę z szeroko otwartymi ramionami. Dotychczasowa małżonka postanowiła bowiem dłużej nie krępować go swoją obecnością i bezpowrotnie go opuścić. Kto napisał anonim otwierający jej oczy na niewierność męża, Dominik B. nie dowiedział się nigdy.

Ostatni przetarg

Niebawem Jerzy K. zwrócił się z kolejną „prośbą” do Dominika B. Tym razem sprawa dotyczyła przetargu na wymianę okien w budynku urzędu miasta. Budynek był niemały i okien miał, co niemiara, więc „prośba” miała odpowiedni ciężar gatunkowy. Jerzy K. przekonywał, że występuje w imieniu swojego kuzyna, który posiada firmę o okiennym akurat profilu i właśnie przeżywa trudne biznesowe chwile. Taki kontrakt bardzo by mu pomógł. Ludzie powinni sobie wzajemnie pomagać. Zwłaszcza rodzina. Od kiedy Dominik B. wprowadził do swojego mieszkania Justynę K., poczuwał się związany z jej rodziną i przetarg odpowiednio ustawił. Zaznaczył jednocześnie, że zrobił to po raz ostatni, niezależnie od tego, jak liczna jest ta rodzina i jak trudne przeżywa chwile. Jerzy K. nie traktował jednak tych deklaracji poważnie.

W kręgach biznesowych miasta rozeszła się wieść, że w miejskim urzędzie „da się” wiele załatwić. Wieść rozchodziła się głównie za sprawą prezesa Jerzego K., który reklamował siebie, jako

doskonale ustosunkowanego pośrednika w postępowaniach przetargowych urzędu miejskiego. Reklama okazała się dalekosiężna, bo zgłosił się do niego pewien przedstawiciel firmy remontowo-budowlanej, mającej swoją siedzibę w małym i odległym mieście niewojewódzkim. Przedstawiciel i firma była Jerzemu K. nieznaną, ale znane mu były banknoty NBP, którymi w zastępstwie wizytówki przedstawił się przedstawiciel.

Solenie zapewniał, że jest godny zaufania oraz że nazywa się Rafał R. Firma, którą reprezentuje, zamierza wygrać przetarg na kompleksowy remont obiektu siedziby urzędu miasta. Firma zamierza tego dokonać przy pomocy ustosunkowanego prezesa Jerzego K. Firma, choć mała i z prowincji, to zachować się potrafi, i konieczne koszty takiej pomocy jest skłonna oczywiście ponieść. Prezes Jerzy K. łapówkę przyjął i zobowiązał się, że znajomy „ustawiacz” przetarg po myśli firmy ustawi.

Firma przetarg wygrała, ale do podpisania umowy, ani tym bardziej do rozpoczęcia prac remontowych nie doszło. Firma budowlano-remontowa była bowiem fikcyjna, a jej przedstawicielem okazał się funkcjonariusz Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Prezes Jerzy K. został aresztowany pod zarzutem płatnej protekcji. W wyniku złożonych przez niego wyjaśnień aresztowano także urzędnika miejskiego Dominika B.

W trakcie prowadzonego śledztwa ustalono, że prezes Jerzy K. wielokrotnie przyjmował pieniądze w zamian za „ustawianie” przetargów organizowanych przez urząd, w którym pracował Dominik B. Ku zaskoczeniu prowadzących śledztwo okazało się, że pieniądze przyjmował równoległe do wielu uczestników tych samych przetargów. Przetarg wygrywała oczywiście tylko jedna firma. Łapówkę przyjętą od tej firmy prezes Jerzy K. zatrzymywał. Pieniądze przyjęte od firm pozostałych zwracał z informacją, że wynikły nieprzewidziane trudności i nic nie dało się załatwić. Dzięki takiej procedurze nic nie ryzykował, a jedynie potęgował zaufanie do siebie, jako osoby niespotykanej uczciwej. Sąd miał jednak odmienne zdanie na temat jego uczciwości, co wyraził 2-letnim wyrokiem pozbawienia wolności.

★ ★ ★

Sam Dominik B. nic o procedurze prezesa Jerzego K. nie wiedział. Przyznał się, że rzeczywiście ustawił dwa przetargi. Jeden dla samego Jerzego K., natomiast drugi dla jego kuzyna. Pieniądzy żadnych za te przysługę nie wziął, bo potraktował to, jako rodzinną pomoc. Był bowiem wówczas w konkubinacie z córką Jerzego K., a po opuszczeniu go przez żonę nawet z Justyną K. zamieszkiwał. Prokurator nie zdecydował się zatem na postawienie Dominikowi B.



zarzutu przyjęcia korzyści majątkowych, bo dowodu na to nie znaleziono, a przyjęcie korzyści tzw. osobistych w formie atrakcyjnej Justyny K., jako żywej łapówki, także uznał za niemożliwe do utrzymania się w sądzie. Dominik B. i Justyna K. oświadczyli bowiem trochę nie na temat, ale jednak do protokołu, że zamierzają się pobrać i że poczynili nawet w tym kierunku odpowiednie kroki.

Dominik B. przed sądem stanął „z wolnej stopy”, po wpłaceniu wyznaczonej kaucji. Został skazany za niegospodarność. Wyrok usłyszał niewielki i do tego w „zawieszeniu”, co bardzo ucieszyło jego nowo poślubioną żonę Justynę. Karą dodatkową był zakaz pełnienia funkcji w administracji publicznej i stanowisk związanych z odpowiedzialnością materialną. Nie zrujnowało to jednak jego planów życiowych. Dominik B. otworzył własną firmę wielobranżową. Radzi sobie nieźle. Zleceń mu nie brakuje. W środowisku biznesowym miasta nazywany jest „królem przetargów”. Mówi się, że nie ma takiego przetargu, którego by nie wygrał. ■

Mirosław Kotala

Personalia zostały zmienione.

Z kraju i ze świata

Koszmar nauczycielka

Od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia grozi nauczycielce pracującej w jednej ze szkół na Dolnym Śląsku. Kobieta stosowała bulwersujące metody wychowawcze. Sprawa wyszła na jaw, kiedy matka jednego z uczniów ujawniła nagranie z lekcji, na którym słychać, jak pani pedagog m.in. karze sześciolatków, zaklejając im usta taśmą i zastraszając. Zaniepokojona zachowaniem dziecka matka (pierwszoklasista ewidentnie bał się chodzić do szkoły) ukryła w plecaku pociechy dyktafon, który zarejestrował przebieg lekcji. Podejrzenia rodzica, że w szkole musi dziać się coś złego, były zasadne... Po przesłuchaniu w prokuraturze kilkunastu osób okazało się, że poza zaklejaniem ust taśmą i straszeniem, nauczycielka „za karę” zakazywała dzieciom wychodzić do toalety (niektóre z nich moczyły się), a zimą szeroko otwierała okno, przy czym sama wtedy zakładała kurtkę, a dzieci marzły. Prokuratora postawiła kobiecie zarzut zne-

cania się. Zastosowano wobec niej także kilka środków zapobiegawczych m.in. dozór policji, zakaz kontaktu z poszkodowanymi dziećmi i ich rodzicami, przebywania na terenie szkoły i wykonywania zawodu. ■

Śmiertelna zabawa

Prawo do posiadania i noszenia broni jest powszechne w USA. Dostępność do niej, sprzedaż, posiadanie i użycie, reguluje prawo w poszczególnych stanach. Większość Amerykanów popiera prawo do posiadania broni w celu samoobrony, jednak systematycznie docierają do nas informacje o tragediach, jakie rozgrywają się w tym kraju, właśnie dlatego, że broń jest niemalże stałym wyposażeniem domu i do tego często w żaden sposób niezabezpieczonym.

Tym razem dramat rozegrał się w stanie Ohio, gdzie trzyletni chłopiec, prawdopodobnie podczas zabawy, oddał strzał w kierunku rocznego dziecka. Mimo, że niemowlę natychmiast zostało przewiezione do szpitala, na pomoc było już za późno... Trwa dochodzenie do kogo należała broń i dlaczego znajdowała się w miejscu dostępnym dla dzieci. Właściciel pistoletu prawdopodobnie stanie przed sądem. Ciekawe ile podobnych dramatycznych historii potrzeba Amerykanom, aby wreszcie zaczęli zastanawiać się nad ograniczeniem dostępu do broni? ■

Tragedia w szkole

Uczeń pewnego gimnazjum w Barcelonie wszedł do szkoły 20 minut po rozpoczęciu lek-





cji. 13-latek bez wahania udał się do swojej klasy. Niestety, zamiast książek i zeszytów, wyposażony był w nóż i kuszę... Pierwszy strzał oddał w kierunku nauczycielki hiszpańskiego, a następnie ranił nożem przebywającą w sali córkę kobiety. Krzyki dzieci zwały do pomieszczenia nauczyciela z innej klasy, którego nieobliczalny smarkacz ranił strzałą w serce. Niestety śmiertelnie. Zanim obezwładniono nastolatka zdołał jeszcze ranić trzy inne osoby. Koledzy z klasy są zszokowani zaistniałą sytuacją. Ich zdaniem Joan Fuster nie był konfliktowy. Interesowały go zapewne militaria, chętnie chodził w wojskowym ubraniu i grywał w gry wojenne. Policja znalazła przy chłopaku listę z nazwiskami kolegów, którzy chodzili z nim wcześniej do szkoły podstawowej, a teraz byli w tym samym gimnazjum. Spis obejmował także nauczycieli. Zgodnie z hiszpańskim prawem nastolatek nie będzie sądony, ponieważ jest zbyt młody (ma mniej niż 14 lat). Obecnie znajduje się w poprawczaku i objęto go opieką psychologa. Badany jest także przez psychiatrów. Okazało się, że w internecie ochoczo przeglądał strony poświęcone prze-

mocy. Hiszpanie są w szoku, nigdy wcześniej nie doszło do sytuacji aby uczeń zamordował kogokolwiek w szkole. ■

Mądrość dziecka

Dyżurny policji z Rybnika otrzymał zgłoszenie o pijanej kobiecie, która zamierza prowadzić samochód w którym jest dwójka małych dzieci. Okazało się, że o sprawie poinformowała policję przypadkowa osoba, którą zaczepił w parku 9-letni chłopczyk i poprosił o interwencję! Dziecko przebywało w parku razem z matką i rodzeństwem, a kiedy odmówiło rodzicielce wspólnej podróży samochodem, bo widziało, jak matka wcześniej piła alkohol, kobieta zostawiła go w parku. Kiedy policjanci dotarli na miejsce nieodpowiedzialna matka zdążyła już odjechać, na szczęście szybko udało się ją zatrzymać. Kierująca Mercedesem kobieta wiozła w aucie dwójkę swoich dzieci w wieku 4 i 8 lat. W środku przebywał także jej znajomy, z którym prawdopodobnie piła alkohol. Po badaniu okazało się, że 34-latka ma prawie 3 promile alkoholu w organizmie. Okazało

się także, że do 2016 roku obowiązuje ją zakaz prowadzenia pojazdów. Nieodpowiedzialna matka odpowie za jazdę po pijanemu i złamanie sądowego zakazu. Dziećmi zajął się ojciec. O sytuacji został powiadomiony sąd rodzinny. ■

Ta zniewaga krwi wymaga

W Wielkanocną niedzielę 61-letni mężczyzna postanowił odwiedzić swoją znajomą, mieszkającą na łódzkim osiedlu Mania. 54-latkę ucieszył widok gościa, a że czas był wyjątkowy (święteczny), postanowili uczcić go procentami... Miła atmosfera skończyła się, kiedy kompan od kieliszka odezwał się do znajomej imieniem innej kobiety. Gospodyni była oburzona i nie zastanawiając się wiele, chwyciła za nóż i ugodziła mężczyznę w ramię. Ranny postanowił szukać pomocy u sąsiadów, którzy natychmiast wezwali pogotowie ratunkowe. Mężczyzna trafił do szpitala, jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Kobieta w chwili zatrzymania miała 1,3 promila alkoholu we krwi. Grozi jej do 5 lat więzienia. ■



W DRODZE DO SZKOŁY

Anna JAGODZIŃSKA

Na szarfię wieńca od rodziny widniał napis: *Śpij spokojnie małeńka*. Tymczasem spokój, a raczej martwa cisza, przesywana raz po raz szlochem, panowała podczas mszy żałobnej, podczas której z niedowierzaniem żegnano 14-letnią Kasię. Nastolatkę pochowano w grobie siostry bliźniaczki, która zmarła dokładnie tego samego dnia miesiąca, kiedy straciła życie Kasia, tylko 14 lat wcześniej!



Proboszcz, który wygłaszał kazanie, z trudem panował nad emocjami. Doskonale znał dziewczynkę i jej rodzinę.

– Bóg wybrał Kasię. Jest teraz szczęśliwa, z dala od ziemskich podłości – mówił do wiernych zebranych w kościele.

Łzy i szloch, przecinający martwą ciszę, potęgowały uczucie przygnębienia. Po kazaniu szkolni koledzy nastolatki recytowali pożegnalne wiersze dla Kasi. W uczestnikach tej przygnębiającej uroczystości było wiele gniewu i niezgody na to, co spotkało dziewczynę. W kondukcje żałobnym, liczącym około tysiąca osób, ludzie zgodnie potwierdzali, że mordercę Kasi powinna spotkać najwyższa kara. W rozmowach padały głosy: *Szkoda, że nie ma kary śmierci*. Byli tacy, którzy sami chętnie wymierzyliby zwyrodnialcowi sprawiedliwość...

– Dostanie taki osiem lat, a jak będzie grzeszny, to wcześniej wyjdzie i będzie robił to samo – pomstowali ludzie na cmentarzu.

Inni twierdzili, że to znak czasów: – Gry komputerowe czy brutalne filmy uczą jak zabić, wręcz edukują. Ze śmierci nie robią nic wielkiego, przecież w takiej grze trup ściele się gęsto.

Gdzie jest Kasia?

Kasia Wolińska mieszkała w niewielkim domu we wsi pod Bydgoszczą. Urodziła się jako jedno z bliźnięt. Niestety jej siostra zmarła dwa dni po narodzinach. Jednak dziewczynka nie była jedynaczką, miała jeszcze czworo starszego rodzeństwa. Bystra i uczynna od najmłodszych lat, była skarbem dla rodziców.

– To taka przyłepka była – mówił o córce jej ojciec – Waldemar Woliński.

– Długo w jednym miejscu nie usiedziała. Często śpiewała, nawet kiedy odrabiała lekcje – wspomina matka Kasi – Barbara Wolińska.

Doskonale też dogadywała się z rówieśnikami. Zawsze otaczali ją liczni przyjaciele.

– To taka normalna dziewczyna – mówili o niej koledzy ze szkoły.

Nie mogła być inna, skoro pochodziła z rodziny, gdzie od małego uczona była skromności, pracowitości, wrażliwości i szacunku do drugiego człowieka. Razem z innymi uczniami zbierała nakrętki dla chorej dziewczynki. Kasia była w czołówce uczniów, którzy tych nakrętek przynieśli najwięcej do szkoły.

Na początku grudnia 2010 roku 14-letnia Kasia, jak każdego dnia, wyszła z domu do szkoły. Po lekcjach miała jeszcze zajęcia SKS-u. W drogę ruszyła rowerem. Najczęściej jechała razem z bratem lub koleżankami. Tego dnia

wybrała się jednak sama. Było kilka minut po godzinie 7 rano.

Mimo początku zimy, pogoda dopisywała, co prawda w rowach zalegał już śnieg, ale droga nadawała się do jazdy. Zresztą w ten sposób dziewczynka najczęściej docierała do szkoły, a daleko nie miała, zaledwie półtora kilometra. Z podróżowania jednośladem rezygnowała tylko wtedy, gdy było dużo śniegu, albo padał ulewny deszcz. Trasa, którą uczęszczała, nie należała do ruchliwych, mogła spokojnie dojechać do szkoły, nie będąc wyminiętą przez żaden pojazd.

Tego dnia w połowie drogi zauważyła, że jedzie za nią samochód, dlatego jeszcze bardziej „przytuliła się” do pobocza i czekała, aż kierowca ją wyprzedzi. Nagle jednak poczuła lekkie uderzenie. Spadła z roweru, była przytomna... Tymczasem z samochodu, który ją potrącił, wysiadł młody mężczyzna. Kasia go znała. Był to daleki krewny rodziny

– Hej Kaśka, czy coś ci się stało? – miał powiedzieć do niej mężczyzna. – Wsiadaj do samochodu, trzeba cię zawieźć do szpitala i sprawdzić, czy nic poważnego się nie stało.

– Nic mi nie jest – miała odpowiedzieć zdeorientowana nastolatka.

– Trzeba to sprawdzić, nie marudź – nalegał mężczyzna.

Porzucony w rowie rower i torbę z białymi adidasami, znalazła kobieta, która jechała tą drogą z córkami do szkoły.

– Nie wiecie, czyj to rowerek? – zapytała córki kobieta

– Kasi Wolińskiej – odpowiedziały bez wahania dziewczynki.

O godzinie 7.40 w domu Wolińskich rozbrzmiał dzwonek telefonu. Barbara Wolińska podniosła słuchawkę i dowiedziała się, że znaleziono rower córki, której jeszcze kilkanaście minut temu machała na pożegnanie. Pojazd był uszkodzony, co mogło sugerować, że dziewczynka mogła zostać potrącona przez samochód – niestety nastolatki nie było w pobliżu jednoślada. Nie próbowała też kontaktować się z rodziną. Nie dotarła do szkoły, nie wróciła do domu. Wszelki ślad po niej zaginął.

Nadzieja umiera ostatnia

Natychmiastowo wszczęto poszukiwania Kasi. Początkowo przypuszczono, że kierowca, który potrącił nastolatkę (o czym świadczyły ślady na rowerze), zabrał ją do lekarza. Dlatego postanowiono skontaktować się ze wszystkimi szpitalami na terenie województwa, niestety nigdzie nie było 14-latki.

Przez następne dni policjanci, strażacy, żołnierze i poruszeni zaginięciem dziewczynki sąsiedzi,

przeszukali ponad 600 hektarów w okolicy miejsca zamieszkania Kasi. Mieszkańcy rodzinnej miejscowości dziewczynki i rodzice dzieci z sąsiednich wiosek szeroko komentowali, że można było uniknąć tej tragedii, gdyby władze gminy inaczej „gospodarowały”. Nie kryli pretensji, że rządzący nie zagwarantowali dzieciom dojazdu do szkoły autobusem. Pojawiły się słowne przepychanki między władzami gminy a mieszkańcami. Sytuacja była bardzo napięta.

Dyrekcja szkoły, do której chodziła Kasia Wolińska, zorganizowała spotkanie z psychologiem. Starano się też izolować dzieci od dziennikarzy, którzy licznie pojawiali się w rodzinnej miejscowości zaginionej dziewczynki. Uczniowie i nauczyciele modlili się także na specjalnej mszy, odprawionej w intencji odnalezienia nastolatki. Taka msza odbyła się też dla mieszkańców w tej samej intencji i dla wszystkich, którzy włączyli się w akcję poszukiwawczą.

– Nie wiem, co się stało z tą dziewczyną, ale będziemy jej szukać tak długo, aż znajdziemy – deklarował jeden z mieszkańców wsi.

W związku z poszukiwaniem uruchomiono specjalny telefon, pod który mogli dzwonić wszyscy ci, którzy mogli cokolwiek widzieć. Niestety nie natrafiono na nastolatkę, ani nawet żaden ślad po niej. Chociaż sprawdzano wszystkie sygnały. Ktoś gdzieś widział ślady krwi, ktoś inny czarny podejrzany samochód w miejscu, gdzie znaleziono rower Kasi... Rozmawiano z mieszkańcami wioski, kolegami ze szkoły dziewczynki. Nie dowiedziano się niczego konkretnego. Ustalono jedynie, że dziewczyna sama nie odeszła z miejsca zdarzenia (co brano wcześniej też pod uwagę. Mogła tak zrobić pod wpływem szoku).

Z każdym dniem malała nadzieja, że nastolatka odnajdzie się żywa. Brano jednak pod uwagę, że Kasia mogła zostać porwana, dlatego do poszukiwań włączyła się Fundacja ITAKA. Przy okazji rodziło się też wiele plotek i domysłów, między innymi, że Kasię porwano w celu pozyskania organów: – Była okazem zdrowia,

młodziotka, wysportowana – nakręcali rozplotkowaną machiną mieszkańcy wioski.

Inni twierdzili, że miejsce, w którym leżał rower nastolatki jest przeklęte, ponieważ jakiś czas temu zderzyły się tam dwa samochody. W wypadku zginął młody mężczyzna. Droga była prosta, bez niebezpiecznych zakrętów, niespodziewanych dziur w jezdni. „Diabeł opętał to miejsce, trzeba omijać je z daleka” – wnioskowali.

Zdjęcie zaginionej dziewczynki pojawiało się w mediach. Po kilku dniach od zaginięcia policja pokazała pasek od kurtki, w którą nastolatka była ubrana w dniu zaginięcia (dziewczynka zazwyczaj go nie nosiła). Mundurowi i rodzina mieli nadzieję, że może ten element garderoby zapadnie ludziom w pamięć i łatwiej będzie znaleźć dziewczynkę. Za pomoc z znalezieniu nastolatki wyznaczono także nagrodę w wysokości 10 tysięcy złotych. Niedługo po ukazaniu się tego komunikatu, anonimowy mieszkaniec pobliskiej gminy zaoferował, że dołoży z własnej kieszeni do tej puli tysiąc złotych.

O pomoc w znalezieniu Kasi zwrócono się nawet do jasnowidza. Rodzice w towarzystwie psychologa udali się do niego i usłyszeli, że ciało dziewczynki (wyraźnie „widział”, że Kasia nie żyje) znajduje się wokół jakiegoś świętego miejsca. Postanowiono sprawdzić i ten trop, dlatego poszukiwania trwały wokół wszystkich okolicznych figurek, cmentarza i kościoła. Bezskutecznie...

– Skoro nie było jej w żadnym wojewódzkim szpitalu myśleliśmy, że ktoś ją śmiertelnie potrafił i obawiając się skutków, zabrał zwłoki, aby je gdzieś ukryć – opowiadał Waldemar Woliński. – Cały czas mieliśmy jednak nadzieję na cud, nadzieję, że Kasia żyje.

W sprawę zaangażowało się coraz więcej osób nie tylko z województwa. Ludzie z całej Polski przejęci losem 14-letniej Kasi Wolińskiej starali się dodawać otuchy rodzinie (która od początku zaginięcia dziewczynki była pod opieką psychologa), ale też podejmowali konkretne kroki. Jeden z internautów poinformował na forum, że dziewczynka może być poza granicami województwa, dlatego nie można zawężać obszaru poszukiwań. Mężczyzna z własnej woli wydrukował plakaty ze zdjęciem Kasi i rozwiesił w centrum Warszawy i na kilku stacjach benzynowych na obrzeżach miasta. „Społecznik” nawoływał na forum, aby inni internauci zrobili podobnie.

Wszystkie z szeroko zakrojonych działań nie przynosiły rezultatów. Najbliży nadal wierzyli, że zdarzy się cud i Kasia pewnego dnia otworzy drzwi. Nadzieję na taki obrót sprawy mieli nie tylko najbliżsi, ale nawet miejscowy ksiądz, który odwiedził dom państwa Wolińskich z coroczną kolędą. Duchowny zostawił święty obrazek dla dziewczynki...

Rozwiązanie krzyżówki z paragrafem

POZIOMO: kabura, kamizelka, nadcięcie, kłam, tama, pantofel, motorower, sekta, zapach, mus, błaga, tartak, dieta, Peru, dobranoc, celebrazmory, zez, zbrodnia, artykuł, modem.

PIKONOMO: komedia, bezlik, relacja, konik, afera, łup, manko, fio, mleko, mokradło, trampki, rozstaje, wsparcie, racja, szajka, Barbara, kara, rekord, nudym, szum, Nina, czad, czas, Lete, rzut.

Nie dla oczu rodziców

Tymczasem na początku stycznia 2011 roku, 20 km od miejsca zamieszkania nastolatki, natrafiono na niezidentyfikowane ludzkie zwłoki, ukryte w zaroślach. Około 10.00 rano, znalazł je leśniczy, który znakował drzewa do wycinki. Obok leżała kurtka, plecak z książkami i zeszytami.

– Idąc drogą, zobaczyłem ptaka, który podnosi się z ziemi. Zaciekawilo mnie to, dlatego podszedłem. Zobaczyłem but, a potem coś, co przypominało ciało... – wspomina tamten koszmarny dzień leśniczy.

Z uwagi na stan zachowania szczątków (okaleczonych przez zwierzęta leśne), śledczy nie zdecydowali się na okazanie rodzinie ciała zaginionej Kasi, celem identyfikacji.

– Widok ciała był przerażający, a dla rodzica nie do zniesienia – komentowali policjanci.

Przybyłej na miejsce matce i siostrze Katarzynie Wolińskiej pokazano jedynie kurtkę, plecak i zeszyty. Policja nie chciała potwierdzić, czy najbliżsi rozpoznali rzeczy. Zrobił to dopiero prokurator. Natomiast matka dziewczynki pytana przez dziennikarzy, czy to rzeczy jej córki, początkowo zaprzeczała:

– Takich kurtek czy plecaków jest wiele. Kasia żyje – powtarzała jak mantrę kobieta.

Pani Wolińska miała żal, że policja nie przeszukiwała wcześniej tamtej okolicy. Kobieta do końca miała nadzieję, że znalezione w lesie ciało nie należy do jej córki, nawet gdy przemawiały za tym pewne fakty. Jednak badania DNA potwierdziły, że znalezione w lesie szczątki należą do Kasi Wolińskiej. Natomiast sekcja zwłok przyniosła szokujące informacje... Początkowo podejrzewano, że dziewczynka została śmiertelnie potrącona, zabrana z miejsca zdarzenia i wyrzucona w lesie. Znalezione ciało leżało niedaleko wojewódzkiej drogi i kierowca prawdopodobnie spieszył się, aby niepostrzeżenie zniknąć z miejsca zdarzenia, a po drodze pozbył się ciała. Sekcja zwłok wykazała jednak, że nastolatka zginęła od śmiertelnych ciosów zadanych nożem, wcześniej jednak została zgwałcona...

Po znalezieniu ciała śledztwo nabrało tempa.

Alibi

Na początku grudnia 26-letni Paweł T. około godziny 19.00 wyszedł do pracy w masarni i urwał się z nim kontakt. Najbliżsi zgłosili jego zaginięcie. Tylko jego kolega otrzymał od niego SMS-a z wiadomością: *Zostałem porwany.*

Niedługo potem do policji dotarła wiadomość, że w okolicy opuszczonego zakładu w Bydgoszczy znajduje się spalony samochód i jakiś mężczy-



zna, z którym trudno nawiązać kontakt. Mówił coś o czarnym Mercedesie, który za nim jeździł. Tajemniczym mężczyzną okazał się Paweł T. Mężczyzna twierdził, że został porwany. Ponoć nieznani osobnicy mieli wozic go przez kilka dni w bagażniku auta, przystawiali „coś zimnego” do głowy, a następnie zmusili do podpalenia samochodu. Zeznania mężczyzny wydawały się mało wiarygodne. Policjanci postanowili bacznie przyjrzeć się temu mężczyźnie, tymczasem trafił on do szpitala, skąd odebrała go rodzina.

O sprawie tajemniczego porwania Pawła T. przypomniano sobie, kiedy znaleziono zwłoki Kasi... Policja powiązała pewne fakty na tyle skutecznie, że kilka godzin po znalezieniu zwłok nastolatki postawiono zarzut zabójstwa Pawłowi T. Rodzina, znajomi i sąsiedzi nie mogli w to uwierzyć. Dziwili się i negowali postępowanie policji.

– Jak Paweł mógł zrobić coś temu dziecku, skoro w tym czasie sam został porwany. Zresztą byli rodziną, daleką, ale jednak rodziną – pukała się w głowę jedna z mieszkanek wsi, w której mieszkał zatrzymany mężczyzna.

– Paweł chodził do jednej klasy z naszym bratem – zeznała siostra Kasi Wolińskiej. – Znał Kaśkę. Pewnie od dłuższego czasu ją obserwował.

Podczas przesłuchania mężczyzna w końcu przyznał się do zbrodni, chociaż swoje zeznania



często zmieniał. Niezbitym dowodem były ślady krwi Kasi Wolińskiej, znalezione na ubraniu mężczyzny.

Rodzina Pawła T. była w szoku. Nie tylko państwo Wolińscy cierpieli, najbliżsi mordercy też przeżywali horror.

– Matka Pawła ledwo żyje. Nie dociera do niej fakt, że jej syn mógł dopuścić się takiego okropieństwa. Boją się wychodzić do pracy czy po zakupy – wyznała sąsiadka państwa T. – Podobno ktoś dzwonił do ich młodszego syna z groźbami. To dramat dwóch rodzin.

Krwawe puzzle

Paweł T. był pracownikiem rzeźni. W miejscu pracy i zamieszkania cieszył się dobrą opinią. W 2008 roku zamieszkał z kobietą, z którą miał dziecko. Związek jednak nie przetrwał próby czasu i po dwóch latach mężczyzna wrócił do rodzinnego domu, ale trochę zaczęło mu brakować kobiecych czułości...

Na początku grudnia wyjechał rano samochodem (marki Citroen) z domu. Po drodze zatrzymał się w miejscowym sklepie i kupił paczkę papierosów. Niepiesznie dotarł do miejscowości, gdzie mieszkali Wolińscy. Było kilkanaście minut po godzinie 7.00 rano, kiedy na pustej drodze zobaczył jadącą rowerem Kasię. Specjalnie najechał na nią samochodem, ale uważnie... Dziewczynka przewróciła się, a wtedy on wysiadł z samocho-

du... Kiedy nastolatka znalazła się już w jego aucie, wymierzył jej siarczysty policzek, a do szyi przystawił nóż. Odjechali jakieś 20 km, wtedy brutalnie bez wahania zgwałcił Kasię. Po wszystkim kazał jej położyć się na plecach i naciągnąć czapkę na oczy. Nastolatka posłusznie wykonała polecenie swojego oprawcy. Prawdopodobnie była przekonana, że już po wszystkim, a spełniając żądania przeżyje. Tymczasem zwyrodnialec sięgnął po nóż i kilka razy wbił go w okolice serca Kasi! Dziewczynka zmarła na miejscu.

Kiedy było po wszystkim, Paweł T. bielizną Kasi wytarł zakrwawiony nóż i pojechał do pracy. Był już spóźniony. Przełożonemu powiedział, że miał problemy z samochodem.

Mężczyzna obawiał się, że prawda szybko może wyjść na jaw. Co prawda nie widział, aby ktokolwiek był świadkiem zajścia na drodze czy w lesie, kiedy gwałcił Kasię, ale wiedział, że policja ma swoje sposoby. Postanowił zadbać o alibi. Nikomu nic nie mówiąc, pojechał do Bydgoszczy, pozorując swoje porwanie. W tym czasie postanowił spalić swój samochód, aby zatrzeć ślady zbrodni.

Z akt śledztwa wynikało, że Paweł T. na miesiąc przed zamordowaniem Kasi nawiązał kontakt telefoniczny z inną 14-latką. Co ciekawe, mężczyzna zataił swoją tożsamość i przedstawił się jako 16-latek z Torunia! Do dziewczynki wysyłał SMS-y, niektóre z nich miały charakter ewidentnie erotyczny. Paweł T. dążył do spotkania z dziewczynką. Z billingu połączeń telefonicznych wynikało, że z nową znajomą kontaktował się w dniu, w którym potracił, zgwałcił i zamordował Kasię Wolińską. Prokuratura specjalnie ujawniła te informacje, ponieważ o sprawie zamordowanej Katarzyny i jej oprawcy dużo mówiono się w mediach. Chodziło o to, aby przestrzec inne młode osoby przed kontaktami z anonimowymi osobnikami.

Bez skruchy

Proces Pawła T. toczył się przez półtora roku z całkowitym wyłączeniem jawności. Rozprawy utajniono ze względu na wyjątkowo drastyczne okoliczności zbrodni i dobre imię ofiary. Chociaż rodzina Kasi Wolińskiej chciała jawności.

– Jestem zadowolona, że moja córka leży spokojnie w grobie – mówiła po wszystkim matka Kasi. – Paweł nie odzywał się do mnie. Nie chcę jego przeprosin, bo nawet bym ich nie przyjęła.

A Paweł T. przeproszać nie zamierzał, zresztą była to jedna z okoliczności obciążających przy ferowaniu wyroku. Na żadnej z rozpraw mężczyzna nie spojrzął w oczy rodzinie Kasi. Dopiero w mowie końcowej wyraził skruchę i przeprosił za swój czyn.

Paweł T. został skazany na dożywotnie więzienie (biegli psychiatrzy uznali, że w chwili popełnienia zbrodni był poczytalny). Było to zgodne z wnioskiem prokuratury i rodziny Kasi Wolińskiej. Sąd jednak ustalił, że mężczyzna będzie mógł się ubiegać o przedterminowe wyjście z więzienia po 35 latach, a nie po 40 – jak postulował ojciec zamordowanej (występujący w procesie jako oskarżyciel posiłkowy). Dodatkowo odebrano mu prawa publiczne na 10 lat i zasądzono od niego 100 tysięcy złotych zadośćuczynienia dla rodziców zamordowanej. Jednak skazany nie miał żadnego majątku, ani oszczędności i jakby tego było mało, musiał płacić alimenty na swojego synka. Zdaniem sądu Paweł T. może podjąć pracę w więzieniu.

Rodzina Kasi nie liczy na te pieniądze, są dla niej nierealne, nie wspominając już o tym, że nic nie wróci życia ich córki.

– Musiałby przez 35 lat zarabiać prawie 3 tysiące miesięcznie i praktycznie nic nie wydawać, aby nas spłacić. Nierealne – komentował ojciec Kasi Wolińskiej. – Z więzienia wyjdzie najwcześniej w wieku 63 lat. Mam nadzieję, że nie dożyje tych lat.

Matka dziewczynki podczas uzasadnienia wyroku płakała: – Jestem zadowolona z tego

wyroku, ale powinna wrócić kara śmierci – komentowała kobieta.

★ ★ ★

W lesie, gdzie znaleziono zwłoki Kasi, stał pamiątkowy głaz. Sąsiedzi i okoliczni mieszkańcy ufundowali też pomnik na cmentarzu. To było jedyne co mogli zrobić dla najbliższych Kasi Wolińskiej. Dobrze wiedzieli, że w domu zamordowanej dziewczynki nigdy się nie przelewało. Zorganizowano więc zbiórkę i udało się zgromadzić ponad 5 tysięcy. Nagrobek pojawił się na mogile nastolatki w Dniu Matki 2011 roku. W tym samym grobie spoczywa siostra bliźniaczka Katarzyny Wolińskiej, która żyła tylko dwa dni. Dzień i miesiąc śmierci obu dziewczynek jest ten sam, różni się tylko rok...

Dziewięć miesięcy po zbrodni, której ofiarą padła Kasia, jej 24-letni brat Krzysztof został śmiertelnie potrącony przez jadącą samochodem kobietę. ■

Anna Jagodzińska

Niektóre drobne okoliczności zdarzeń oraz personalia osób zostały zmienione.

REKLAMA

W PRENUMERACIE

DETEKTYW
TYLKO HISTORIE PRAWDZIWE

DETEKTYW
TYLKO HISTORIE PRAWDZIWE
SEKRETY STAREGO ZAMCZYSKA

DETEKTYW
TYLKO HISTORIE PRAWDZIWE
UPROWADZENIE MULTIMILIONERA

DETEKTYW
TYLKO HISTORIE PRAWDZIWE
KRÓLESTWO ROBACTWA

DETEKTYW
TYLKO HISTORIE PRAWDZIWE
ZBRODNIĄ PRAWIE DOSKONAŁA

DETEKTYW
TYLKO HISTORIE PRAWDZIWE
ŻYCIE NA CZTERDZIESCI PROCENT

DETEKTYW
TYLKO HISTORIE PRAWDZIWE
TYCER
POTRÓJNA ZBRODNIĄ NA STARÓWCE

ZAWSZE TANIEJ

CZUŁY PUNKT
DOMINIKA VAN EIJKELBORG

CZASEM O NASZYM ŻYCIU DECYDUJĄ SEKUNDY.
Weronika zostaje uprowadzona i uwięziona. Pilnuje jej milczący mężczyzna. To on decyduje, kiedy jej wolno pić, jeść, korzystać z łazienki. Jest jednym z napastników, ale zamiast nienawiści, wzbudza w niej coraz cieplejsze uczucia.

**FASCYNUJĄCA POWIEŚĆ
O NIEJEDNOZNACZNEJ
RELACJI PORYWACZ-OFIARA.**

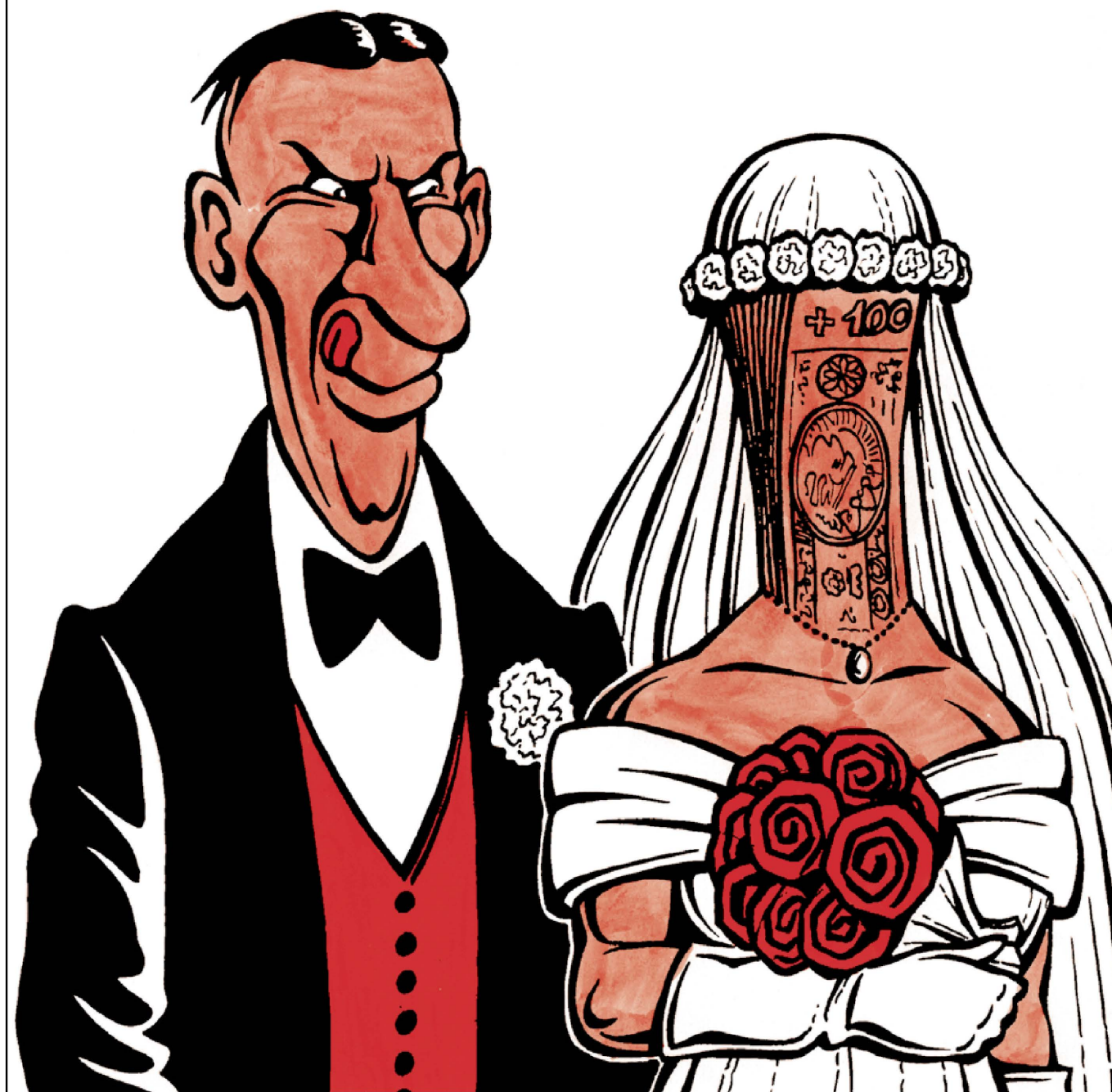
**TAKŻE
JAKO
EBOOK**

BRAK CIAŁA

Stefan KOTKOWSKI

Ta historia najlepiej potwierdza, ile prawdy jest w powiedzeniu: „Nie ma ciała, nie ma zbrodni”. W lutym 2004 roku Beata K. wyszła z domu. Po kilku godzinach zaginięcie kobiety zgłosił Rafał I., jej mąż. Pomimo intensywnych poszukiwań nigdy nie odnaleziono kobiety, a poszła-

ki wskazujące, że została zamordowana przez własnego męża, były zbyt słabe, by prokuratura zdecydowała się go aresztować. W kwietniu 2011 roku Rafał popełnił samobójstwo, zabierając do grobu tajemnicę. Czy nigdy nie dowiemy się, jaki los spotkał Beatę K.?



Wielka miłość

Beata K. była ładną, szczupłą brunetką. Wokół niej zawsze kręciło się wielu adoratorów, ale ona na pierwszym miejscu stawiała naukę. Jej rodzice prowadzący dobrze prosperującą firmę w branży budowlanej, byli dumni z córki.

– Dziewczyna skończy studia ekonomiczne w Poznaniu i wróci do Gorzowa. Pomoże prowadzić mi firmę – cieszył się ojciec Beaty i nie szczędził pieniędzy na jej edukację. Dziewczyna nie sprawiała żadnych kłopotów wychowawczych.

Wiele zmieniło się, kiedy poznała Rafała Z. Chłopak od samego początku nie spodobał się ojcu.

– Ciągłe mówił tylko o pieniądzach. Bardzo mu imponowało, że Beata pochodzi z bogatego domu i może pozwolić sobie na więcej niż jej rówieśniczki. Próbowałem trochę studzić emocje córki, ale ona była zakochana i zdawała się tego nie widzieć – opowiadał po latach pan Kazimierz.

Po cichu liczył, że córka zmadrzeje i wyrosnie z tej miłości. Był to w zasadzie pierwszy tak poważny związek Beaty. Roztropny ojciec uzbroił się w cierpliwość i postanowił przeczekać, aż pierwsze zauroczenie minie. Nie chciał wywierać zbyt dużego nacisku na swoją ukochaną pociechę i nie zamierzał jej niczego zabraniać.

– Serce czasem trudno zrozumieć, ale jest ono najważniejsze w życiu – powtarzał sobie w myślach, próbując zaakceptować wybór córki.

Kiedy Beata poinformowała rodziców o planowanym ślubie, nie pozostało mu nic innego, jak życzyć jej szczęśliwego małżeństwa i zabrać się za organizację wesela. Przecież uroczystość zaślubin jego córki musiała być zorganizowana z wielką pompą.

Ojciec nie mógł narzekać. Widać było, że chłopak kocha dziewczynę, zależy mu na niej i biega wokół niej.

Po ślubie pojawiły się ze strony młodego małżonka duże żądania finansowe.

– Tato, kup nam mieszkanie w Poznaniu, daj pieniądze na nowy samochód, potrzebujemy na meble – Rafał bez żadnych zahamowań zgłaszał kolejne żądania.

Pan Kazimierz denerwował się, ponieważ do wszystkiego doszedł sam. Nic nie dostał za darmo, a teraz taki młokos bez skrępowań traktuje go jak kurę znoszącą złote jajka.

– Może teraz takie czasy. Chłopak pochodził z biednej rodziny, gdzie zawsze brakowało pieniędzy na życie i teraz nie potrafił sobie poradzić – ojciec próbował tłumaczyć zachowanie zięcia.

Z drugiej strony pan Kazimierz nigdy nie oszczędzał na córce. Dłaczego w sytuacji, kiedy go na to stać, miałby nie pomóc urządzić się, jako tako, na starcie młodemu małżeństwu.

Rafał i Beata zamieszkali w nowym mieszkaniu na poznańskich Ratajach. Z okien ich mieszkania

roztaczał się piękny widok na rzekę i Stare Miasto. Dziewczyna po skończeniu studiów otworzyła biuro obrotu nieruchomościami. Miała smykałkę do interesów, a przy tym był to chyba znakomity okres na taką działalność. Młodemu małżeństwu niczego nie brakowało do szczęścia. Wiele par w ich wieku mogło tylko pomarzyć o takim starcie.

Jednak między małżonkami coraz częściej dochodziło do kłótni. W jednym nie dobrali się zupełnie. Beata marzyła o dziecku, a on tymczasem wprost chorobliwie nie tolerował dzieci.

– Na studiach trzymałyśmy się razem – opowiadała potem najbliższa koleżanka – Beata, Ania i ja. Wszystkie trzy mniej więcej w tym samym czasie wyszłyśmy za mąż, ale tylko Ania doczekała się dziecka. Kiedyś spotkaliśmy się u Ani wraz z mężami. Beaty nie można było oderwać od malucha. Cały czas się z nim bawiła. Gadała tylko do niego. W końcu musiała pójść do toalety i dziecko posadziła na kolanach męża. Rafała sparaliżował strach. Nie wiedział, co ma zrobić z małym i pewnie, gdyby matka w porę nie zabrała dziecka, doszłoby do wypadku. Po powrocie żony Rafał zrobił jej wielką awanturę. Krzyczał strasznie na nią, a o dziecku mówił bachor. Wszyscy byliśmy zszokowani. Beata nawet nie próbowała się bronić. Widać było, że jej bardzo wstyd za małżonka.

Kiedy okazało się, że Beata jest w ciąży, wszystko zaczęło się psuć. Znajomi oraz sąsiedzi wielokrotnie byli świadkami awantur i krzyków.

Dziadkowie nie zdążyli się nawet nacieszyć wiadomością o pierwszym wnuku.

Wyszła z domu i zaginęła

Dokładnie 18 lutego 2004 roku Rafał zgłosił się na komendę i poinformował:

– Moja żona nie wróciła do domu ze spotkania biznesowego. Zaraz po śniadaniu była umówiona na pokazanie mieszkania do wynajęcia. Niestety nie wiem, gdzie i z kim. Ale musiało to być blisko, bo nawet nie kazała sprzątać ze stołu. Miała dokończyć posiłek po powrocie – spokojnie zeznał na policji, a potem obszedł wszystkie lokalne redakcje, roznosząc zdjęcia żony i prosząc o publikację apelu o pomoc w poszukiwaniach.

Policja zgłoszenie przyjęła. Uspokajała małżonka, że minęło bardzo mało czasu.

– Żona pewnie zmieniła plany. Może coś jej nagle wyskoczyło. Musimy poczekać – tłumaczyli mundurowi, ale jednocześnie rozpoczęli intensywne poszukiwania. Zgłoszenie o zaginięciu zbiegło się w czasie z innymi doniesieniami od kobiet, które zgłaszały wówczas próby napaści na tle seksualnym przez nieznanego mężczyznę. Do ataków dochodziło właśnie w okolicy, gdzie mieszkała zaginiona. Policjanci obawiali się, że młoda, atrakcyjna dziewczyna mogła stać się ofiarą zboczeńca.

SPRAWA NIEROZWIĄZANA

Pan Kazimierz, jak tylko dowiedział się zaginięcia córki, wsiadł w samochód i przyjechał do Poznania.

– Pierwsze, co mnie uderzyło, to wyjątkowy spokój Rafała. Wszystko miał zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach: zgłoszenie na policję, wizyty w redakcjach, rozwieszanie plakatów na mieście, prowadzenie akcji poszukiwawczej w internecie. Ja panikowałem, trząsałem się ze strachu o córkę, a on tymczasem ze stoickim spokojem działał. Zupełnie tak jakby nie był zaskoczony tą sytuacją – opowiadał ojciec o pierwszych wątpliwościach w stosunku do męża córki.

Ślady prowadzą do męża

Pan Kazimierz zaczął się z uwagą przyglądać zięciowi. Z każdą godziną poszukiwań coraz bardziej upewniał się, że Rafał ma coś do ukrycia. Podzielił się swoimi wątpliwościami z policjantami.

Do akcji ruszyła ekipa policyjnych techników. Mieszkanie było perfekcyjnie wysprzątane, ale mimo to czuły sprzęt wykrył ślady olbrzymiej plamy krwi w łazience.

– Żona miała krwotok – spokojnie wyjaśnił mąż.

Wątpliwości narastało coraz więcej. W notatniku Beaty pozostawionym w domu nie było informacji o spotkaniu, na które poszła. Było to o tyle dziwne, że dziewczyna skrupulatnie prowadziła kalendarz. Zawsze zapisywała nazwiska kontrahentów, telefony i miejsca spotkań.

Żaden z sąsiadów, znajomych, sklepikarzy z okolic ulicy św. Rocha nie widział 18 lutego Beaty. Nikt nie zauważył jej wyjścia z domu, zresztą operator sieci komórkowej, z której korzystała 28-latką, wskazał, że aparat nie opuścił rejonu, w którym kobieta mieszkała. Przez kilka godzin przed zaginięciem Beata nie przeprowadziła żadnej rozmowy telefonicznej. Od razu nasuwało się pytanie: Czy rzeczywiście zniknęła 18 lutego, czy może jednak wcześniej. A jeśli wcześniej, to dlaczego Rafał okłamał policję i bliskich żony?

Na ręce Rafała teść zauważył świeżą ranę.

– Skaleczyłem się podczas transportu przyczepy, którą odwoziłem do domu rodziców – znowu wyjaśnił szybko, bez mrugnienia okiem.

Za kilka tygodni, gdy zdesperowany ojciec wynajął prywatnego detektywa, udało się ustalić, że Rafał kłamał. Przyczepę odwoził kilka dni wcześniej, więc rana zdołałaby się trochę zagoić.

Apel o poszukiwaniu zaginionej spotkał się z bardzo dużym odzewem. Znajomi i przyjaciele, ale również zupełnie obcy ludzie zaangażowali się w poszukiwania zaginionej kobiety w ciąży. Przeszukano metr po metrze tereny nad rzeką w pobliżu domu Beaty. Policjanci pletwonurkowie zbadali dno Warty. Jednak ciała nie odnaleziono.

Policja dyskretnie obserwowała handel kradzioną biżuterią. Liczono na pojawienie się na nielegalnym rynku bransoletki i naszyjnika, który miała na sobie w dniu zaginięcia. Niestety ten trop również nie posunął sprawy do przodu.

Komórka Beaty również nigdy już nie została zalogowana do sieci.

– Gdy pomyślę o miejscach, w których morderca mógł skutecznie ukryć zwłoki, to jedna sprawa nie daje mi spokoju – mówi detektyw. – W tamtym okresie remontowano most, Świętego Rocha nad Wartą. Jeśli zwłoki wrzucono pod zalewane betonem przęsło mostu, to nigdy ich nie znajdziemy. Prokuratura bez dodatkowych dowodów nie zdecyduje się na rozbiórkę mostu. Morderca musiałby zeznać: „Tak, wrzuciłem tam ciało”, ale na to nie ma co na razie liczyć.

Rafał po zaginięciu żony był opanowany i potrafił odpowiedzieć na każde najtrudniejsze pytanie, choć również zrobił kilka dziwnych ruchów. Na przykład na trzeci dzień od zaginięcia chciał wycofać zdjęcia żony z gazet.

– Nie są już potrzebne – wytłumaczył w jednej z redakcji. Dziennikarze myśleli początkowo, że dziewczyna się odnalazła. Kiedy zorientowali się, że ciągle jest poszukiwana, zażądali wyjaśnień od męża, ale on nie chciał już rozmawiać.

Wynajęty do poszukiwań jasnowidz jednoznacznie wskazał na udział męża w zaginięciu żony.

– To ty zabiłeś żonę i ukryłeś ciało! – jasnowidz wprost oskarżył Rafała. Ten nie zaprzeczał. Siedział i spokojnie dawał sobą pomiatać zupełnie tak, jakby chciał wy badać, czy jasnowidz wie coś więcej... Dopiero kiedy nie pojawiło się więcej konkretów, spokojnie zakończył rozmowę. Oskarżeniom zaczął zaprzeczać dopiero następnego dnia.

Brak ciała i mocnych dowodów wskazujących na winę męża zadecydowało o tym, że prokuratura nie przedstawiła zarzutów. Rafał znalazł się tylko pod stałą uważną obserwacją kryminalnych. Wszyscy czekali na jego błąd, ale przede wszystkim na odnalezienie zwłok. Nikt chyba już wówczas nie wierzył, że Beata żyje.

Rafał zaczyna nowe życie

Nie upłynął nawet miesiąc od zaginięcia żony, a Rafał związał się z nową kobietą. Najdziwniejsze, że łądząco podobną do żony. Nawet niektórzy sąsiedzi z osiedla dali się nabrać i pomylili ją z Beatą.

Ojciec był zrozpaczony.

– Czy on nie ma sumienia?! Nawet nie wiadomo, co się stało. Jakby czuła się Beata, gdyby się odnalazła i wróciła do domu, a tam zastała obcą kobietę. Przecież nosiła pod sercem jego dziecko. Jak można tak szybko zapomnieć o żonie? – pan Kazimierz nie mógł się pogodzić z sytuacją.

Wynajętego detektywa bardzo zainteresowała wyprawa Rafała w rodzinne strony kilka dni przed zaginięciem żony. Analizując drobiazgowo informacje, skłaniał się do teorii, że Beata została zamordowana w swoim domu. Prawdopodobnie podczas jednej z częstych kłótni.

– Może nawet nie było to morderstwo z zimną krwią. Nie zostało zaplanowane. Tylko podczas sprzeczki Rafał stracił nad sobą panowanie i uderzył żonę. Pechowo upadła albo nadziała się na nóż, którym jej groził – wspomina detektyw tę niewyjaśnioną sprawę. – Mąż postanowił nie zawiadomiać policji o tragedii. Przeczekał jeden lub dwa dni i dokładnie zaplanował pozbycie się zwłok.

Detektyw wraz z jasnowidzem i grupą przyjaciół przeszukiwali tereny wokół rodzinnej wioski Rafała. To wówczas znalazło się kilku świadków, którzy widzieli go we wsi w innym terminie niż on zeznawał.

Rodzinna wioska Rafała położona jest wśród lasów. Mnóstwo tu miejsc, gdzie mógł skutecznie ukryć ciało. Miał do dyspozycji samochód z przyczepą oraz żaglówkę na jednym z jezior. Jeśli obciążone zwłoki wrzucił do jeziora, to prawie niemożliwe stawało się ich odszukanie bez konkretnych wskazówek.

Zdesperowany ojciec ciągle szukał ciała córki, tymczasem Rafał świetnie bawił się u boku nowej, młodszej dziewczyny, z którą zamieszkał w domu kupionym przez teścia. Przejął firmę żony i teraz sam zajmował się jej interesami.

Nie szło mu tak dobrze jak Beacie. Na kredyt kupił luksusowe auto, ale szybko okazało się, że nie jest w stanie go spłacać. Przestał również płacić za czynsz. Gdy po kilku latach zadłużenie doszło do kilku tysięcy złotych, pan Kazimierz zażądał opuszczenia lokalu i podpisania zobowiązania do zapłaty długu.

– W roku 2010 spotkałem się z Rafałem, by ostatecznie załatwić sprawę mieszkania. Nie wyglądał dobrze. To był zupełnie inny facet – ojciec wspomina ostatnie spotkanie z mężem córki.

Zabrał tajemnicę do grobu

Rafał zupełnie nie radził sobie z prowadzeniem firmy. Popadł w długi i do tego zaczął handlować narkotykami. Na sfałszowane dokumenty wyludzał również kredyty z banków. Za te przestępstwa trafił nawet na krótko do więzienia. Wyszedł na wolność i miał z wolnej stopy odpowiadać w sądzie, ale nie doczekał rozpoczęcia procesu.

18 kwietnia popełnił samobójstwo, wieszając się w wynajmowanym mieszkaniu na tym samym osiedlu, gdzie mieszkał z żoną. Lecz to nie wyrzuty sumienia pchnęły go do tak desperackiego kroku.



Prawdopodobnie bardzo naraził się ludziom z przestępczego półświatka. Również u nich miał wielki dług. Dodatkowo gangsterzy obawiali się, że Rafał w sądzie zacznie sypać. Był zastraszany i żył pod wielką presją. Niektórzy znajomi Rafała nie wierzyli w wersję o samobójstwie.

– On był zimny jak lód. Nic go nie ruszało. Myślał tylko o sobie. Jeśli to on zamordował Beatę, to na pewno przez te wszystkie lata dawno zapomniał o niej. Potrzebował tylko jej pieniędzy i firmy – mówił jeden z jego znajomych.

Jednak policja nie znalazła dowodów na udział osób trzecich.

Obydwie sprawy zostały umorzone – poinformował podinspektor Andrzej Borowiak, rzecznik prasowy Komendanta Wojewódzkiego Policji w Poznaniu. – Prokuratura uznała śmierć mężczyzny za samobójstwo. W sprawie kobiety śledztwo o ewentualne spowodowanie śmierci zostało umorzone. Jeśli pojawią się informacje o zwłokach, wtedy sprawdzimy, wykonamy czynności. Policjanci z zespołu analityczno-procesowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu liczą, że mimo upływu lat uda się w końcu wyjaśnić los zaginionej kobiety. ■

Stefan Kotkowski

Imiona i inicjały nazwisk zostały zmienione poza zaginioną kobietą. Policja cały czas czeka na informacje mogące ustalić, co się stało z Beatą K.

ODSZKODOWANIE

Jerzy BLASZYŃSKI

Hieronim Cz. to recydywista i alkoholik, który od dawna znęcał się nad swoją rodziną. Był już za to karany, siedział w więzieniu, ale pobyt za kratkami nie zmienił go na lepsze. Kilka lat temu żona oskarżyła go o gwałt, w rezultacie czego

mężczyzna trafił do aresztu tymczasowego, w którym spędził prawie 10 miesięcy. Potem jednak kobieta wycofała oskarżenie. Hieronim Cz. wykorzystał tę sytuację i zaczął się domagać odszkodowania za niesłuszny pobyt za kratkami.



Czterdziestotrzyletni Hieronim Cz. mieszkał wraz z żoną Julią i trójką dzieci w niewielkiej miejscowości pod Lublinem. Z zawodu był elektrykiem z uprawnieniami. Wydawać by się mogło, że mając taki fach w ręku, bez problemu znajdzie pracę. Jak nie w Polsce, to za granicą. Wielu kolegów Hieronima tak zrobiło i dziś chwalą sobie podjętą kilka lat temu decyzję.

On jednak od dłuższego czasu nie mógł znaleźć stałej pracy. Nie mógł – bo specjalnie jej nie szukał. Mierziło go bowiem codzienne ranne wstawanie i konieczność zachowania trzeźwości przez większą część dnia. No, i jak czasami mówił – miał lęk wysokości i z tego powodu nie miał ochoty wchodzić na słupy wysokiego napięcia i w nich grzebać. Rodzina utrzymywała się głównie z zasiłków opieki społecznej. Od czasu do czasu Hieronim Cz. brał jakąś dorywczą pracę. Zwykle były to drobne naprawy gniazdek lub urządzeń na prąd i dużych pieniędzy z tego nie miał. Zresztą i tak wszystko co zarobił, wydawał na alkohol.

Rodzina żyła w niedostatku. Często brakowało na podstawowe opłaty, a nawet na jedzenie. Hieronima złościły sytuacje, kiedy żona z zafasowaną miną mówiła, że chyba w tym miesiącu nie zapłacą za wodę lub gaz, bo najzwyczajniej nie ma z czego. – Ciągłe słyszę tylko: daj i daj. A czy wy myślicie, że ja umiem wyczarować pieniądze? Sami idźcie zarobić i zobaczcie jakie to łatwe! – wykrzykiwał, mimo iż poprzedniego dnia bez mrugnięcia okiem wydał w miejscowym barze kilkadziesiąt złotych.

Nie był dobrym mężem ani ojcem. Pod wpływem alkoholu zachowywał się agresywnie. Bił żonę, obrzucał ją wyzwiskami i groził. Gdy dzieci stawały w obronie matki, dostawało się również im. Ostatnio jednak bał się podnosić rękę na najstarszego syna. Chłopak był już pełnoletni i w razie czego umiał odpowiedzieć ciosem na cios. Hieronim Cz. już parę razy przekonał się o tym. Pozostałych natomiast nie oszczędzał.

★ ★ ★

Koszmar rodziny trwał od lat. Sąsiedzi wiedzieli o tym, jak Hieronim traktuje najbliższych. W przypadkach szczególnych

– gdy np. mężczyzna biegał za żoną z nożem i wykrzykiwał, że ją wykończy – wzywali policję. Niewiele to jednak zmieniało.

Na widok funkcjonariuszy mężczyzna jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, z wilka przemieniał się w baranka. Uspokajał się, w obecności policjantów przeproszał żonę i ze łzami w oczach przysięgał, że się to nigdy nie powtórzy. Tłumaczył swoje zachowanie trudną sytuacją materialną, niemożnością znalezienia pracy i podupadającym zdrowiem. Żona długo nie zamierzała wnieść przeciwko niemu oskarżenia o znęcanie się. Mimo wszystko nie chciała, żeby Hirek poszedł do więzienia. Jakby nie patrzeć, to mąż, a alkoholizm, na który cierpiał, to choroba. Co powiedziałyby jego rodzina i całe wiejskie środowisko, gdyby dowiedziano się, że doniosła na tego, któremu przysięgała przed ołtarzem? Mimo iż otoczenie współczuło jej, to bała się, że za coś takiego zostanie potępiona właśnie przez tych, którzy najbardziej użalali się nad jej losem. No i był jeszcze jeden powód, dla którego znosiła ból i upokorzenia. Jak Hirek pójdzie siedzieć, to nie zarobi nawet grosza i wtedy czeka ich jeszcze gorsza nędza.

Wyrozumiałość ma jednak swoje granice. Sześć lat temu, po kolejnym pobiciu przez męża i groźbach, że ją osłepi śrubokrętem, w końcu udała się na komisariat policji i złożyła na niego skargę. Hieronim Cz. został skazany na rok więzienia za fizyczne i psychiczne znęcanie się nad żoną. Jak słusznie przewidywała, szwagierka przestała z nią rozmawiać, a teściowa bez skrępowania wyzywała ją przy ludziach i nawet nie chciała przyjść na pierwszą komunię do średniej wnuczki, czym największą przykrość wyrządziła dziewczynce. Trochę lepiej było z sąsiadami, przynajmniej niektórymi. Nie słyszała od nich wrednych komentarzy.

Aczkolwiek decyzja o złożeniu doniesienia na Hieronima miała zdecydowane plusy. Gdy przebywał w zakładzie karnym, reszta rodziny wreszcie mogła normalnie żyć. I wcale nie popadli w nędzę. Dzieci były już na tyle duże, że Julia Cz. nie musiała ich pilnować od rana do nocy. By zapewnić im utrzymanie, poszła do pracy. Akurat w przedszkolu potrzebna była pomoc do kuchni. Zgłosiła się i została zatrudniona. Rozsądnie gospodarowała pieniędzmi, starała się na wszystkim oszczędzać. I przynosiło

to efekty. Już nie musieli tak często korzystać z zasiłków. Było zupełnie inaczej, gdy domowym budżetem rządził Hieronim.

★ ★ ★

Ale im bliżej było końca jego odsiadki, najbliżsi coraz bardziej obawiali się jego powrotu. Przecież zanim jeszcze trafił za kratki, zapowiadał, że zrobi z żoną „porządek”. Miała to być kara za to, że doniosła na niego na policję.

Jak się okazało, słowa dotrzymał. Zaledwie przez tydzień po opuszczeniu więzienia, Hieronim Cz. zachowywał się jak normalny człowiek. Potem znowu zaczął pić, z dnia na dzień coraz więcej i coraz gorzej odnosił się do żony.

Julia Cz. raz odważywszy się donieść na brutala i tyrana, nie miała już oporów przed złożeniem kolejnej skargi. W styczniu 2009 roku, miesiąc po wyjściu Hieronima na wolność, po kolejnej awanturze jaką urządził, kobieta złożyła na policji doniesienie o popełnieniu przez niego przestępstwa. Tym razem oskarżenie było jeszcze cięższego kalibru niż poprzednio.

– Chciał uprawiać ze mną seks. Odmówiłam, bo w tym samym pomieszczeniu spały dzieci. Nie chciałam, żeby na to patrzyły. Mąż wpadł we wściekłość. Dotkliwie mnie pobił, groził, że poderżnie mi nożem gardło, a na koniec czterokrotnie mnie zgwałcił. Potem mnie straszył, że jak komuś o tym powiem, to mnie zabije. Ale ja nie chcę już milczeć, ponieważ boję się, że tak czy inaczej on może to zrobić. Chodzi mi nie tylko o moje życie, ale i o życie dzieci – zeznała roztrzęsiona kobieta.

W rezultacie tego doniesienia, prokuratura postawiła mężczyźnie zarzuty pobicia i zgwałcenia żony oraz stosowania wobec niej gróźb pozbawienia życia. Sąd przychylił się do wniosku prokuratury i wydał decyzję o tymczasowym aresztowaniu podejrzanego. Nikogo nie wzruszyły płaczliwe tłumaczenia Hieronima, że nie chciał skrzywdzić żony i prośby, by dano mu jeszcze jedną szansę. Ten człowiek miał już dość szans. Żadnej nie wykorzystał.

★ ★ ★

Postępowanie trwało, pobyt Hieronima Cz. w areszcie przedłużał się. Przez kolejnych 10 miesięcy jego żona podtrzymywała

swoje oskarżenie. W trakcie kilku przesłuchań, nieomal w takich samych słowach opisywała przebieg zdarzenia. Widać było, że wciąż mocno przeżywa ten koszmar. Nikt zatem nie spodziewał się, że ze wszystkiego się wycofa.

Gdy postępowanie przygotowawcze było już praktycznie na ukończeniu, Julia Cz. nieoczekiwanie odmówiła składania zeznań przeciwko mężowi. Nie podała żadnego istotnego powodu zmiany swojej decyzji. Prokurator w pierwszej chwili sądził, że źle usłyszał. Nie miał jednak problemów ze słuchem. Ta kobieta naprawdę chciała się ze wszystkiego wycofać.

– Ale przecież twierdziła pani, że mąż panią często bił i groził. I czterokrotnie zgwałcił. Mówiła pani, że boi się o życie. Czy to rozsądne wycofywać się z tego? Dobrze się pani zastanowiła? – pytał śledczy. Podejrzewał, że za taką decyzją może kryć się lęk przed zbliżającą się sądową konfrontacją oko w oko z Hieronimem Cz. Albo może rodzinka męża ją postraszyła?

– Może to wszystko mówiłam w jakimś zderwowaniu. Ale miałam czas, żeby to przemyśleć i poukładać sobie w głowie. Doszłam do wniosku, że popełniłam błąd i teraz odmawiam składania zeznań w tej sprawie. Wiem, że mam przecież do tego prawo – powtórzyła uparcie kobieta.

– Tak, oczywiście. No cóż, jest pani dorosłą osobą, która – mam nadzieję – wie co robi. Obawiam się jednak, że mąż wcale nie podziękuje za taką wielkoduszność.

Ponieważ zeznanie żony było jedynym materiałem obciążającym Hieronima Cz., mężczyzna został w tej sytuacji prawomocnie uniewinniony od postawionych zarzutów i niebawem wyszedł na wolność. Póki co, policja ani żadna inna instytucja nie mają sygnałów, że znowu znęca się nad rodziną.

★ ★ ★

Na tym nie koniec. Po kilku latach od uniewinnienia, Hieronim Cz. złożył do sądu wniosek o finansową rekompensatę za bezzasadny pobyt w areszcie. Jako osoba oczyszczona z zarzutów i uniewinniona, miał do tego prawo. Zażądał 50 tysięcy zł od Skarbu Państwa. 15 tysięcy zł miało być formą

odszkodowania za utracone zarobki, a reszta zadośćuczynieniem za utratę zdrowia i krzywdy doznane w areszcie. Mężczyzna miał być pogardliwie traktowany przez współosadzonych, co spowodowało, że załamał się psychicznie i próbował popełnić samobójstwo, połykając metalowe śruby.

Do takiego zdarzenia rzeczywiście doszło podczas odsiadki Hieronima Cz. Wewnętrzne dochodzenie nie ustaliło jednak, dlaczego mężczyzna podjął samobójczą próbę. Aczkolwiek nie od dziś wiadomo, że gwałciele i „damscy bokserzy” nie mają za kratkami łatwego życia.

Sąd uznał, że Hieronimowi Cz. należy się odszkodowanie za utracone zarobki, bo przecież mężczyzna przed aresztowaniem i w ogóle od dłuższego czasu nie pracował i nie szukał pracy. Zdecydowano natomiast, że należy mu się 35 tys. zł tytułem zadośćuczynienia za 9 miesięcy i 16 dni tymczasowego aresztowania. Chociaż rozstrzygnięcie w tej sprawie zapadło 1 kwietnia 2014 roku, nie był to żart primaaprilisowy.

Prokuratura złożyła apelację, domagając się skierowania sprawy do ponownego rozpatrzenia. Nie kwestionowano samego wyroku, na mocy którego sąd zdecydował o przyznaniu mężczyźnie rekompensaty, ale wysokość kwoty. Wskazywano, że Hieronim Cz. był już karany za fizyczne i psychiczne znęcanie się nad żoną, jest osobą nadużywającą alkoholu i charakteryzującą się skłonnościami do przesadnych, teatralnych zachowań.

Zdaniem prokuratury, okoliczności te powinny mieć wpływ na ustalenie rzeczywistych rozmiarów krzywd, jakich Hieronim Cz. doznał na skutek pobytu w areszcie. 35 tysięcy zł to stanowczo za duża kwota i wyraźny sygnał dla społeczeństwa, że można latami znęcać się nad żoną, bić ją, poniewierać, nawet zgwałcić, ale także – jeśli nadarzy się taka okazja – wyciągać z tego całkiem pokaźne korzyści finansowe. Wskazywano, że rozstrzygnięcie, jakie zapadło, może wywołać lawinę podobnych wniosków.

Sąd Apelacyjny odrzucił, jako bezzasadny, wniosek prokuratury o ponowne rozpatrzenie sprawy odszkodowania Hieronima Cz. co ozna-



cza, że mężczyzna otrzyma niebawem pieniądze. Zdaniem sądu, kwota rekompensaty nie jest wygórowana. Powołując się na sprawy osób internowanych w stanie wojennym uznano, że za każdy miesiąc niesłusznego pobytu w areszcie tymczasowym należy się ówczesna średnia krajowa pensji. Według ZUS, średnia roczna płaca w Polsce w roku 2009 wynosiła 37 235,52 zł (12x3102,96).

Sąd udowodnił, że świetnie zna arytmetykę, nie można się jednak oprzeć wrażeniu, że w tym przypadku liczby to nie wszystko. Nie mówiąc już o tym, że ci, którzy byli internowani w stanie wojennym, mogą poczuć się trochę dziwnie po porównaniu ich działalności z „wyczynami” Hieronima Cz. ■

Jerzy Blaszyński

Zmieniono personalia i niektóre szczegóły.

TYCER

Dariusz GIZAK

W jaki sposób złodzieje dowiedzieli się, że korzystne będzie włamanie akurat do tego mieszkania, albo że napad właśnie na tego człowieka, o tej porze dnia, da spory łup, bo będzie on miał przy sobie większą kwotę pieniędzy?



Takie pytania często zadają sobie policjanci, ale chyba jeszcze częściej osoby, które stały się ofiarami takich przestępstw. Te traumatyczne przeżycia wywołują często u ofiary negatywne samooceny wynikające z przekonania, że w jakiś sposób sama przyczyniła się do tego, co się stało. To bardzo niekorzystne przekonanie, mogące powodować stany depresyjne.

A jak jest naprawdę? Czy policjantom udaje się dotrzeć do informacji wyjaśniających wszystkie aspekty przestępstwa, a zwłaszcza to, w jaki sposób przestępca trafnie wybrał ofiarę? Owszem, czasami się to udaje, ale są to wyjątkowe przypadki.

Klasyk

Kiedyś policjanci pytani o 45-letniego Arkadiusza B. (mieszkańca P.) wzruszyliby ze zdziwieniem ramionami. Był im praktycznie nieznanym, a jedyny epizod z jego życia zapisany w policyjnych, sądowych i więziennych rejestrach, trącił banałem.

Arkadiusz B. w 1998 roku, podczas zakupów w sklepie samoobsługowym, wykorzystał nieuważę kasjerki i usiłował skraść z kasy plik banknotów (1050 zł). W tamtym czasie nie było jeszcze w sklepach wszechobecnych kamer, ale złodziej nie zauważył, że pomiędzy sklepowymi regałami stoi druga sprzedawczyni, która zaczęła krzyżeć. Dzięki temu uciekającego Arkadiusza B. złapali w drzwiach dwaj wchodzący właśnie mężczyźni. Po „wstępnym obiciu”, przytrzymali go do przybycia policjantów.

Sąd uznał jego czyn za kradzież zuchwałą, którą „wycenił” na 2,5 roku więzienia. Arkadiusz B. odbywał karę w trzech różnych zakładach karnych i dzięki temu zawarł wiele nowych znajomości z przestępcami z różnych stron Polski. Więzienie opuścił w 2000 roku i więcej jego nazwiska w policyjnych rejestrach nie odnotowywano, aż do lipca 2011 roku, kiedy to dzięki wielodniowej obserwacji grupy włamywaczy policjanci zatrzymali grupę mężczyzn, którzy próbowali włamać się do mieszkania.

Kiedy trzyposobową grupę policjanci transportowali do komendy, inni funkcjonariusze rozpoczęli przeszukania w dwóch mieszkaniach, w których mężczyźni wcześniej przebywali po przyjeździe do P. Właścicielem jednego z tych mieszkań był Arkadiusz B., ale zastano tylko jego konkubinę. W trakcie przeszukania znaleziono niewiele. Kilka sztuk złotej biżuterii, którą na wszelki wypadek zabezpieczono, jako mogącą pochodzić z kradzieży, a także ukryte w jednej z szafek kuchennych tzw. łamaki i urywki, czyli narzędzia do mechanicznego forsowania zamków i zabezpieczeń. Wyglądały na nowe, czyli dopiero wykonane i nieużywane. W tej skrytce, sprytnie urządzonej pod miejscem na pojemnik na śmieci, znaleziono także zeszyt z odręcznymi zapiskami. Było w nim pełno różnych

dat i adresów, a także liczb oznaczających kwoty pieniędzy. Prowadzący to przeszukanie policjanci uznali, że może to być notes, w którym złodzieje zapisywali rozliczenia między sobą. Zeszyt starannie zabezpieczono, dotykając go wyłącznie rękami osłoniętymi rękawiczkami. Późniejsze badania wykazały, że znajdowały się na nim wyłącznie odciski linii papilarnych Arkadiusza B.

Niestety zeszyt przeleżał równo trzy tygodnie, nim zaczął go przeglądać jeden z oficerów, przygotowując się do przesłuchania zatrzymanego dzień wcześniej Arkadiusza B. To, co mundurowy zauważył w zapiskach sprawiło, że odłożył przesłuchanie i poszedł z zeszytem do naczelnika. Obaj, jako profesjonaliści, obchodzili się z dowodem rzeczowym właściwie, czyli używali rękawiczek, a nawet pincety do obracania kartek. Po dłuższym wczytywaniu się, doszli do jednakowego wniosku i postanowili, że jedynym sposobem przekonania się, czy mają rację, będzie dokładne sprawdzenie rejestru włamań popełnionych w ostatnim czasie na terenie miasta P.

Już pierwsze sprawdzenia szybko potwierdziły ich domysły. Wszystkie adresy zapisane w zeszytce, były adresami mieszkań lub domów, do których dokonano włamań w ostatnich latach. W dwóch przypadkach w odstępie trzech lat włamywano się nawet dwukrotnie. Policjanci potwierdzili w ten sposób, że mają przed sobą bardzo dokładny rejestr włamań, w których mieszkanie typował do „obrobienia” i przygotowywał niezbędne informacje Arkadiusz B. Początkowo zakładano też, że mógł także brać udział w tych włamaniach, ale dalsze czynności wykluczyły taką sytuację.

Natychmiast zarządzono przesłuchanie tego człowieka. Niestety, ani łagodne, ani bardziej zdecydowane metody przesłuchania nie przyniosły rezultatów. Konsekwentnie odmawiał odpowiadania na pytania, a na widok pokazanego mu zeszytu z jego notatkami, co prawda drgnął i nieprzyjemnie skrzywił twarz, ale za chwilę znów udawał, że o niczym nie wie. Zarówno policjanci, jak i później prokurator oraz sąd, jedyne, co usłyszeli od niego, to stwierdzenie, że co prawda zeszyt jest jego, ale zapiski dotyczą jego pracy, a nie jakichś włamań. Wszyscy doskonale wiedzieli, że nie może zaprzeczyć, iż zeszyt był jego własnością, bo ekspert z dziedziny daktyloskopii bezsprzecznie stwierdził, że na zaszytce ujawniono wyłącznie odciski palców Arkadiusza B.

Jego obrońca także realizował obronę przed sądem właśnie w ten sposób. Twierdził, iż fakt, że do wszystkich mieszkań zapisanych w tym zeszytce włamano się, jest oczywiście przypadkowy. Na potwierdzenie swojej tezy, przedstawił świadectwa pracy, z których wynikało, że jego klient od 2006 roku pracował jako listonosz w miejscowym urzędzie pocztowymi i obsługiwał różne rejony.

Obrońca nie potrafił wyjaśnić znaczenia symboli, jakie były zapisane pod tymi adresami, a Arkadiusz B. stwierdził, że nie będzie odpowiadał na takie pytania, bo nie pamięta, co tam kiedyś zapisywał. Policjanci interpretowali te zapiski na swój sposób, uznając, że zapis „30” oznacza nie liczbę trzydzieści, tylko trzy osoby mieszkające w tym lokalu, a wyraz „al.”, jako instalację alarmową. Natomiast zapis „zam. G lub zam.2Y albo zam 1P.”, jako zapisy dotyczące zamków, gdzie Y to Yale, G to Gerda, a P. to patentowy oraz liczba zamków. Jeszcze nim akt oskarżenia trafił do sądu, policjanci potwierdzali swoje przypuszczenia na miejscu i z reguły wszystko się zgadzało. Zarówno liczba osób, jakie zajmowały mieszkanie, jak i typ zamka, który był zamocowany na drzwiach w czasie, kiedy dokonano włamania. Zapiski w rodzaju „9.00-13.00” interpretowane jako czas, kiedy nikogo nie ma w domu, również się zgadzały i pomiędzy tymi godzinami włamywano się do tych mieszkań lub domów. Na 25 adresów znalezionych w zeszycie, stwierdzono tylko dwa przypadki, gdzie nie było włamania. Z ciekawości policjanci wyjaśnili i to. W jednym przypadku w mieszkaniu stale przebywał duży, groźny pies, a w drugim najprawdopodobniej włamanie uniemożliwili wścibscy sąsiedzi stale przebywający w przydomowym ogródku.

Niestety w żadnym z przypadków, gdzie włamania dokonano, nie zabezpieczono śladów mogących być dowodem potwierdzającym, że włamania tego dokonała grupa powiązana z Arkadiuszem B. ani on sam. Podobna sytuacja była ze złotymi wyrobami zabezpieczonymi w jego mieszkaniu. Nie udało ich się zidentyfikować, jako pochodzących z jakiegokolwiek przestępstwa i musiały być zwrócone.

Akt oskarżenia przesłany przez prokuraturę do sądu w P. zawierał zarzuty wielokrotnego pomocnictwa w dokonaniu kradzieży z włamaniem. Sąd miał poważne wątpliwości co do tych zarzutów i gdyby Arkadiusz B. przyjął inną linię obrony, niż całkowita odmowa odpowiedzi na pytania, mógłby się wybronić. W końcowym efekcie został skazany na karę 3 lat pozbawienia wolności i nie odwoływał się od wyroku.

Jego kompani w odrębnym procesie otrzymali dużo wyższe wyroki, gdyż wszyscy byli już wcześniej karani za kradzieże z włamaniem. Policjantom udało się więc rozbić grupę zawodowych włamywaczy i przynajmniej na jakiś czas uniemożliwić im dokonywanie przestępstw.

Arkadiusz B. w pewnym momencie został mocno skrytykowany przez swojego obrońcę za odmowę składania oświadczeń przed sądem. Nie zwracając uwagi na obecność konwojujących go policjantów, stwierdził: – „Gdybym cokolwiek zeznał, mógłbym już teraz pożegnać się z życiem”. Kiedy adwokat odpowiedział – „Przecież pana koledzy są w areszcie” – Arkadiusz B. odpowiedział. – „Siedzą ludzie z najsłabszej ekipy. Problemem są inni”.

Policjanci z konwoju przekazali tę informację funkcjonariuszom z pionu kryminalnego.

Na podstawie ustaleń procesowych i operacyjnych policjanci z P. uznali, że udało im się ujawnić i doprowadzić do skazania osoby zwanej w środowisku włamywaczy „Tycerem”. Czyli zatrzymali kogoś, kto „tyczy”, czyli typuje i wyznacza mieszkania do włamania. Rozpracowanie takiej osoby to rzadkość, a fakt pracy Arkadiusza B., jako doręczyciela przesyłek, czynił go tym bardziej niebezpiecznym, bo ludzie ufali mu i wpuszczali do swoich domów. Osoby odpowiedzialne za jego zatrudnienie, nie chciały odpowiedzieć na pytanie, jak doszło do tego, że do tej pracy zatrudniona została osoba karana. Jedynym, co udało się policjantom osiągnąć, było to, że sprawdzono w tej instytucji wszystkie zatrudnione osoby, pod kątem przedstawienia przez nie zaświadczenia o niekaralności. Firma tego nie potwierdza, ale wiadome jest, że po tej kontroli dwie osoby musiały odejść z pracy jako doręczyciele, bo w międzyczasie zostały skazane prawomocnymi wyrokami.

Poraża argumentacja kierownictwa tej firmy stwierdzająca, że w innej firmie, obecnie dostarczającej przesyłki w kraju, pracują ludzie karani i nikt tego nie kontroluje. Nie jest to prawdą, bo przy przyjęciu do pracy w każdej firmie dostarczającej przesyłki wymagane jest zaświadczenie o niekaralności. Ale później nikt już nie sprawdza, czy pracownik nie został skazany.

Lis w kurniku

Przez kilka miesięcy 2010 roku, policjanci z W. zmagali się z serią włamań i napadów na banki w okolicznych miejscowościach. Grupa operacyjno-dochodzeniowa powołana do rozwikłania tej sprawy i położenia kresu działalności grupy dokonującej tych przestępstw, z dużą nerwowością czekała na to, w które kolejne miejsce przestępcy uderzą. Sposób działania sprawców oraz zeznania świadków jednoznacznie wskazywały na to, że czterech kolejnych przestępstw dokonały te same osoby.

Analizowano wielokrotnie zapisy z kamer monitorujących, licząc na to, że uda się zobaczyć choć jakiś element charakterystyczny, np. stroju, pozwalający na identyfikację sprawcy. Niestety wszyscy, zarówno dokonując włamania, a także w czasie napadów, byli zamaskowani i nosili jednolite szare stroje.

Pierwszy napad miał miejsce w marcu 2010 roku. Sprawcy weszli do niedużej placówki bankowej w K. akurat w dniu, w którym było w niej dużo pieniędzy wpłaconych przez jedną z firm handlowych. Takie duże wpłaty zdarzały się dwa razy w tygodniu i gotówkę konwój odbierał wieczerem. Sprawcy napadli na placówkę we dwóch, na godzinę przed zamknięciem i grożąc bronią zabrali znaczną kwotę

pieniędzy. Uciekli pieszo do pobliskiego wielopoziomowego garażu, gdzie czekał na nich współnik, który odebrał od nich pieniądze i zdjęte szybko kombinezony i maski.

Prawdopodobnie sprawcy wyszli spokojnie z garażu i mogli nawet oglądać podjeżdżające pod bank wozy policji i agencji ochrony. Pieniądze, broń i kombinezony w tym czasie już dawno jechały w innym kierunku. Tak tylko przypuszczali policjanci, bo w garażu nie było kamer. Potem udało się ustalić, że w garażu czekał współnik z niewielkim motocyklem, a przekazane przez współników rzeczy ukrył w kasetowym bagażniku tego jednoślada. Nawet gdyby przejeżdżał obok policjantów, nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Kask na głowie jeszcze mu zadanie ułatwiał, uniemożliwiając rozpoznanie.

Drugiego przestępstwa ta grupa dokonała w kwietniu 2010 roku, włamując się do filii banku w niewielkiej miejscowości P. Rozbiwszy drzwi od zaplecza wynieśli niedużą kasę pancerną wraz z pieniędzmi. Aby poradzić sobie ze sporym ciężarem, posłużyli się metalowym wózkiem na małych kółkach, którym zjechali po platformie dla osób niepełnosprawnych. Po załadowaniu kasy na samochód, chyba na skutek pośpiechu, wózek porzucili. Kasy pancernej i zawartości nigdy nie odnaleziono.

Straty i tym razem były znaczne. (Według przyjętej słusznej zasady zarówno banki, jak i organy ścigania nie podają wysokości strat.)

Włamywaczom cała operacja zajęła 11 minut. Perfekcyjnie wykorzystali najkrótszy czas, w jakim po sygnale alarmowym do banku mógł dojechać patrol monitoringu z agencji ochrony. Policjanci mieli dwa razy dalej, chyba że przypadkowo byłiby w pobliżu, co niestety nie miało miejsca.

Kolejne dwa napady nastąpiły w maju 2010 roku zaledwie w odstępnie tygodnia. Były praktycznie kalką pierwszego napadu i dwa razy sprawcy trafili na moment, kiedy w tych bankach były duże kwoty, słabe zabezpieczenie i duża odległość od miejsc często patrolowanych przez policjantów i agentów ochrony.

We wszystkich przypadkach sprawcy posługiwali się bronią palną i szarymi kombinezonami, które stały się ich znakiem rozpoznawczym.

★ ★ ★

Rozpracowaniem tej sprawy pod kryptonimem „Szary kombinezon” zajmowała się grupa doświadczonych oficerów z komendy w K., i to oni już od samego początku zauważyli, że sprawcy tych czynów mają zbyt dokładne informacje dotyczące tych placówek bankowych. Podejrzewano, że może z nimi współpracować któryś z byłych pracowników banku albo z pracowników firm dokonujących remontów lub innych prac w tych obiektach.

Niechętnie, ale dopuszczano także możliwość współdziałania z grupą któregoś z pracowników



ochrony zatrudnianych w tych bankach. Aby to sprawdzić i wykluczyć taką ewentualność, zwrócono się do agencji ochrony (tej samej we wszystkich placówkach, co dawało do myślenia) o wykaz pracowników zatrudnionych w tych placówkach w ciągu ostatnich pięciu lat. A agencja ochrony odmówiła policjantom udzielenia takiej informacji, twierdząc, że takie dane może przekazać dopiero na podstawie prawomocnego polecenia sądu. Czyżby mieli jakieś przecucie? Nie wiadomo.

Tymczasem nadszedł czerwiec i funkcjonariusze z niepokojem czekali, w którym miejscu tym razem przestępcy uderzą. Na dzień 21 czerwca 2010 roku zaplanowano i zorganizowano w Komendzie Powiatowej Policji w K. spotkanie policjantów, przedstawicieli banków i szefostwa agencji ochrony działającej na rzecz tych banków. Rozmowy były burzliwe, a nawet na chwilę zostały przerwane, kiedy przedstawiciele banków zagrozili agencji wypowiedzeniem umów na ochronę, a policjanci uprzedzili, że cała sytuacja może skończyć się wnioskiem o cofnięcie koncesji na działalność agencji. Szefowie agencji po naradzie z prawnikiem wrócili na salę i dalej już wszystko poszło gładko. W ciągu godziny funkcjonariusze otrzymali żądane zestawienie pracowników za ostatnie pięć lat. Dodatkowo agencja wyznaczyła też swojego pracownika (emerytowanego policjanta) do kontaktów z grupą prowadzącą rozpracowanie.

Po analizie wykazu szybko wytypowano pięciu pracowników, którzy mogli mieć wiedzę na temat

tych placówek bankowych, gdzie dokonano napa-
dów i włamań. Czterech z nich po analizie wyklu-
czono. Pozostał tylko jeden, a mianowicie 50-letni
Michał G., który w dwóch z tych placówek pracował,
a w pozostałych miewał dyżury w zastępstwie cho-
rych kolegów. W 2010 roku nie pracował już w tej
agencji, gdyż przeniósł się do innej. Policjanci dys-
kretnie zaczęli go obserwować.

Już pierwszy dzień przyniósł zaskoczenie.
Ochroniarz do pracy w kolejnym banku dojeżd-
żał starym Oplem Astrą, ale za jego domem
stał dwuletni Volkswagen Passat, samochód nie
tylko drogi w zakupie, ale także w eksploatacji.
Na drugi dzień policjanci mieli sporo szczęścia.
Zaobserwowali spotkanie Michała G. z braćmi T:
40-letnim Jerzym i 39-letnim Jarosławem T. oraz
25-letnim Bogdanem A. Cała trójka miała już bogatą
przeszłość kryminalną i była doskonale znana poli-
cjom. Spotkanie odbyło się w domu Bogdana A.
i wszyscy wyglądali na bardzo żytych ze sobą.
W przypadku tej trójki to nie dziwiło, ale obecność
Michała G., niekaranego ochroniarza, była więcej
niż zastanawiająca.

★ ★ ★

Rozważano natychmiastowe zatrzymanie tych
osób, ale postanowiono objąć je obserwacją.
Szczęście i tym razem dopisało policjantom. Na
trzeci dzień realizowania ścisłej obserwacji, zatrzy-
mano braci T. i Bogdana A. podczas napadu na
listonosza. Widocznie przygotowując się do kolejnej
„grubszej roboty” postanowili zasilić swoje portfele
o łatwiejszy łup. Gdy z kominiarkami na głowach
i z bronią w rękach zaatakowali doręczyciela, zostali
zatrzymani. Natychmiast przeprowadzono przeszuka-
nie w miejscach zamieszkania zatrzymanych.
Odnaleziono nie tylko spore kwoty pieniędzy, ale
także kominiarki i szare uniformy robocze, których
przestępcy używali wielokrotnie. Zatrzymano także
Michała G. i przeprowadzono przeszukanie w jego
domu. Oprócz nielegalnie posiadanej broni palnej
znaleziono także liczne zapiski i notatki z ochrania-
nych obiektów, ze schematem rozkładu pomiesz-
czeń jednego z banków, który najwyraźniej miał być
obiektem kolejnego napadu.

Michał G. w przeciwieństwie do pozostałych
zatrzymanych, bardzo szybko zaczął współpracę
z policjantami i prokuratorem. Opisał swoją rolę
w tej grupie przestępczej. Twierdził oczywiście, że
jego zadanie polegało wyłącznie na doradzaniu
grupie i np. na opisywaniu zabezpieczeń w banku.
Na podstawie zeznań pozostałych członków grupy
nazywanej roboczo „Szary kombinezon” oraz bada-
nia zabezpieczonych śladów, udowodniono mu
jednak udział we włamaniu do banku. W napa-
dach nie brał udziału osobiście, bo bał się, że któryś
z pracowników banku rozpozna go po głosie albo
po ruchach.

W pewnym momencie bracia T. i Bogdan A.
zaczęli zeznawać, jakoby to Michał G. był przywó-
dzą i inspiratorem wszystkich działań, a oni tylko bier-
nymi wykonawcami. Sąd nie dał im jednak wiary,
uznając, że próbują w ten sposób umniejszać swoją
winę.

Bracia Jerzy i Jarosław T., jako recydywiści,
zostali skazani na karę 8 lat więzienia. Bogdan A.
i Michał G. otrzymali wyroki 6 lat pozbawienia wol-
ności. Sąd zobowiązał ich także do naprawienia
szkody wyrządzonej bankom, gdyż udało się odzys-
kać tylko niewielką część skradzionych pieniędzy.
Na poczet kar zabezpieczono u wszystkich samo-
chody wysokiej klasy i inne przedmioty. Agencja
ochrony zatrudniająca Michała G., po szczegółowej
kontroli stosowanych procedur przy ochronie ban-
ków, straciła koncesję. Działa już jednak ponownie
pod zmienioną nazwą. Jednak banki na razie nie
ryzykują i nie współpracują z tą agencją ochrony.

Proste urządzenie

W lipcu 2012 roku do 65-letniej Barbary M.,
idącej ulicą Żurawią, podbiegło dwóch mło-
dych mężczyzn. Jeden psknął jej gazem
w twarz, a drugi wyrwał torebkę. Kobieta miała w niej
40 tysięcy zł, które przed chwilą pobrała z banku. Nie
zauważyła nawet, jak wyglądali sprawcy. Wiedziała
tylko, że byli dosyć młodzi. Napad nastąpił w miej-
scu, w którym kamery monitoringu bankowego już
nie sięgały, a innych nie było. Policjanci Komendy
Miejskiej w W. rozpoczęli rutynowe czynności,
ale byli bardzo sceptyczni, co do ewentualnych
wyników śledztwa. Żadnych śladów, rysopisów...
Nie mieli praktycznie żadnego punktu zaczepienia.
Trochę liczyli na to, że w otoczeniu pokrzywdzonej
kobiety znajdą kogoś, kto mógł wiedzieć o tym, że
tego dnia będzie ona pobierała tak znaczną kwotę
z banku. Niestety Barbara M. twierdziła zdecydowa-
nie, że nikt o tym nie mógł wiedzieć, bo decyzję
o wypłacie pieniędzy i zakupie samochodu podjęła
po wieczornej, telefonicznej rozmowie z córką. Nikt
o tym nie wiedział, chyba że podsłuchiowano ich
rozmowę. Sprzedawcę samochodu też można było
wykluczyć, bo jeszcze się z nim nie umawiała.

Trzy tygodnie później, w sierpniu 2012 roku,
w bliskiej odległości od tego banku, dosłownie na
sąsiedniej ulicy, dokonano kolejnego napadu. Tym
razem ofiarą był 42-letni Julian K., przedsiębiorca,
który stracił 22 tys. zł. On także nie miał szans na
przyjrzenie się twarzom napastników, bo został
obezwładniony gazem. Najpierw poczuł pieczenie
oczu i twarzy, nim zrozumiał, co się dzieje. Jedyny
świadek tego zdarzenia, pracownik pobliskiego
baru, widział tylko dwóch ubranych na ciemno mło-
dych mężczyzn uciekających przez jedną z bram.
Był zbyt daleko, aby zobaczyć ich twarze. I znów
policjanci stanęli przed kolejną sprawą słabo roku-
jącą na wykrycie.

Jednak pięć dni po tym napadzie do komendy zadzwonił anonimowy mężczyzna, który poinformował, że w dniach kiedy dokonano obu napadów w okolicach tego właśnie banku na Żurawiej, na przedpołudniowej zmianie pracowała ta sama kasjerka, 27-letnia Wioletta C. Mężczyzna twierdził, że mogła ona współpracować z przestępcami, bo widywał ją w towarzystwie „nieciekawych, na pewno karanych mężczyzn”, a ponadto ma ona kłopoty finansowe. Informujący przekazał te rewelacje dyżurnemu i rozłączył się, odmawiając podania swoich danych personalnych. Ustalono tylko, że dzwonił z ulicznego automatu telefonicznego w pobliżu banku przy ul. Żurawiej w W. Dyżurny sporządził notatkę z rozmowy, która została zarejestrowana, więc policjanci zajmujący się sprawą napadów mogli ją odsłuchać.

Uzyskawszy takie informacje policjanci długo zastanawiali się, w jaki sposób mogliby sprawdzić, czy Wioletta C. rzeczywiście współpracowała z przestępcami. To, że pracuje w tym banku i ma 27 lat potwierdzili błyskawicznie, w kadrach banku. Poprosili dyskretnie o listę wszystkich pracowników, aby nie wzbudzić podejrzeń i nie spalić sytuacji.

Najprostszym rozwiązaniem byłoby objęcie kasjerki całodobową obserwacją i ustalenie, z kim się kontaktuje, jednak w tych dniach wszystkie siły policyjnej obserwacji były zaangażowane w obserwowanie, tuż przed zatrzymaniem, członków groźnej grupy przestępczej dokonującej porwań osób dla wyłudzenia okupu. Pozostawało tylko czekać, ryzykując, że kolejna osoba stanie się ofiarą napadu.

Wydarzenia jednak przybrały inny bieg. Jeden z policjantów pracujący przy sprawie tych napadów, regularnie zaglądał w rejon banku, przy którym te zdarzenia miały miejsce. Liczył na tzw. łut szczęścia lub na tzw. policyjnego nosa i miał cichą nadzieję, że uda mu się, np. zapobiec kolejnemu przestępstwu. I udało mu się. W dniu 05.09.2010 roku spostrzegł dwóch mężczyzn siedzących w samochodzie w jednej z bocznych uliczek. Zwrócił na nich uwagę, bo z tego miejsca był doskonały widok na główne wejście do banku. Mężczyźni sprawiali wrażenie, jakby na kogoś lub na coś czekali. Jeden z nich miał najwyraźniej więzienną przeszłość, o czym świadczyły tatuaże na przedramionach i najbardziej widoczne na szyi. Drugi nie miał tatuaży, ale też nie wyglądał na „grzecznego chłopca”. Policjant, nadkomisarz Bogdan K., postanowił sprawdzić te osoby. W tym celu zapewnił sobie pomoc umundurowanych policjantów.

Kiedy radiowóz podjechał do siedzących w samochodzie Hyundai Tucson mężczyzn, zareagowali na jego pojawienie się bardzo nerwowo. Jeszcze bardziej zdenerwowali się, gdy oprócz mundurowych pojawił się także policjant po cywilnemu. Udawali jednak, że są spokojni, czemu jawnie zaprzeczało drżenie rąk. Ponieważ mężczyzna z tatuażami twierdził, że nie ma przy sobie dokumentów, a sie-



dział za kierownicą samochodu, został obezwładniony i zakuty w kajdanki. To samo spotkało jego kompana. Okazało się, że twierdzenie, iż kierowca nie ma przy sobie dokumentów było kłamstwem. Już po pobieżnym sprawdzeniu jego ubrania, policjanci znaleźli dokumenty mężczyzny, a po sprawdzeniu drogą radiową wyjaśniła się przyczyna, dlaczego twierdził, że ich nie ma przy sobie. Z dokumentów wynikało, że jest to 29-letni Karol D., poszukiwany listem gończym przez jedną z prokuratur. Drugi mężczyzna, 27-letni Andrzej C., był miejscowy, a jego adres zamieszkania był tożsamy ze znanym nadkomisarzowi Bogdanowi K. adresem zamieszkania kasjerki Wioletty C.

Podczas sprawdzania samochodu policjanci znaleźli gaz pieprzowy w aeroszlu i dziwne urządzenie podłączone do gniazda zapalniczki. Wyglądało jak elektroniczny układ z głośnikiem i było ukryte w schowku podłokietnika. Zatrzymani mężczyźni nie chcieli powiedzieć co to jest, ale nadkomisarz Bogdan K. szybko domyślił się, z czym ma do czynienia. Natychmiast podjął decyzję o działaniu w warunkach niecierpiących zwłoki. Poszedł do banku i powiadomił jego kierownictwo o zaistniałej sytuacji. Tak jak przewidywał, Wioletta C. pracowała w tym momencie, obsługując klientów w kasie. Dostała podmianę i zeszła ze stanowiska. Polecono jej przyjść do pokoju szefa zmiany. Nadkomisarz cały czas obserwował ją, ale nie zauważył nic

dokończenie na str. 61.

Kobieta fatalna

Tadeusz WÓJCIAK

Czy ta niewiasta stanowi zagrożenie dla mężczyzn? Czy tylko jest chodzącą niewinnością, uwikłaną w morderstwo? Manipulantka planująca zbrodnię, czy przypadkowa ofiara dziwnego zbiegu okoliczności? Trudno o jednoznaczną odpowiedź, gdyż wątpliwości dotyczą kobiety o porażającej urodzie, słynącej z sukcesów i zaskakujących zmian osobowości. Nawet wymiar sprawiedliwości miał kłopoty z oceną i osądzeniem jej postępów.



Wwieku 48 lat była Miss stanu Waszyngton (w kategorii kobiet stanu wolnego, mężatek i rozwiedzionych, w granicach wieku 25-55 lat), powinna wciąż zgarniać hołdy wielbicieli zamiast zwalczać podejrzenia o współudział w ciężkim przestępstwie. A jednak Peggy Sue Thomas znalazła się na takim etapie życia, gdzie niekłamany podziw dla jej wciąż imponującej urody musi się przeplatać z uzasadnionymi wątpliwościami, co też się może kryć za tą piękną buzią i wyjątkowo kształtną sylwetką. Mało kto daje się już bezkrytycznie nabrać na jej czarującą mimikę i gestykulację, gdy ona wciąż próbuje odgrywać rolę osoby niewinnie cierpiącej za czyny naganne i straszne, jak twierdzi – przez nią niepopelnione.

W takiej właśnie roli kamery lokalnej telewizji pokazują Peggy Sue na promie, kursującym pomiędzy wyspami zatoki Puget Sound, w rejonie Seattle i Tacoma. Peggy Sue spogląda ze smutkiem swymi ogromnymi oczami na zbliżający się ląd.

– Znow widzę Whidbey Island, gdzie się urodziłam i żyłam szczęśliwie, jako dziewczynka – mówię z nieukrywaną rozpaczą w głosie. – Tamte lata minęły. Teraz szczęśliwe wspomnienia tracą znaczenie pod ciężarem strasznych przeżyć. Nie jest mi łatwo zmagać się z podejrzeniami o przestępstwo, którego się brzydzę...

Wartość męża

Tragedia na wyspie Whidbey Island wydarzyła się nazajutrz po świętach Bożego Narodzenia 2003 roku. Stacja telewizyjna KIRO-TV w ostatnich tego dnia wiadomościach lokalnych o jedenastej w nocy podała krótki komunikat: „Detektywi z biura szeryfa Island County gólowią się nad rozwiązaniem sprawy tajemniczego morderstwa, popełnionego w ciemną, zimową noc. Padły strzały, jest ofiara śmiertelna. Trwają poszukiwania osoby lub osób odpowiedzialnych. Życie stracił 32-letni Russel Douglas”.

Kamery przez chwilę pokazały miejsce zdarzenia – opustoszały, tonący w ciemnościach fragment lokalnej drogi, wiodącej skrajem wyspy. Był już tam detektyw Mark Plumberg, który odąd będzie zajmował się tą sprawą, aż do jej ostatecznego rozwiązania dopiero po ośmiu latach.

– Totalna ciemność, mało uczęszczana droga; idealne warunki do zasadzki i krwawego wyrównywania porachunków – relacjonował detektyw. – Na poboczu Chevrolet Trucker z otwartymi drzwiami. W środku denat, młody przystojny mężczyzna, ze śmiertelną raną postrzałową głowy...

Zabity miał przy sobie portfel ze wszystkimi dokumentami. Detektyw Plumberg udał się więc z kilkoma policjantami pod adres podany w prawie jazdy, spodziewając się zwyczajowych scen rozpacz i bólu po stracie najbliższej osoby. Jakież było zaskoczenie, gdy w drzwiach skromnego domu stanęła potężna kobieta z wyjątkowo nieprzyjaznym

wyrazem twarzy, i warknęła na przybyłych: – O co chodzi? Co się stało? Czemu mam przypisać ten najazd o późnej porze?!

Niewiastą opartą o framugę drzwi w pozie wyjątkowo agresywnej okazała się Brenna Douglas, żona zabitego. Sprawiała wrażenie, jakby wiadomość o tragedii wcale jej nie zaskakiwała, a już najpewniej zupełnie nie obchodziła. Jakby zaledwie przed godziną i pół mili od ich domu śmierć poniósł nie mąż, a całkowicie obcy człowiek. Zamiast choć trochę posmutnieć, choćby dla zasady, zasypała zwiastunów strasznej nowiny lawiną informacji zupełnie w tych okolicznościach zbędnych, a wręcz szkalujących dobre imię denata.

Spodziewający się też i załamania rąk, otrzymali więc fragmentaryczny na razie obraz rozpadającego się małżeństwa. Agresywna kobieta wykrzyczała całą masę zarzutów pod adresem niepotrafiącego się już obronić Russela. Z jej krzyków, popartych wymachiwaniem rąk wynikało, że był on mężem niewiernym, maltretującym ją fizycznie, zniechęcającym się nad nią moralnie, unikającym odpowiedzialności materialnej za rodzinę. Żyli w separacji, a wszystko zmierzało do rozwodu. Russel pomimo to pragnął spędzić Boże Narodzenie z nią i z dwójką dzieci.

Późniejsze śledztwo miało potwierdzić, że tylko część z tych zarzutów okazała się prawdziwa. Brenna i Russel, choć nie byli parą małżeńską dopasowaną i szczęśliwą, prowadzili życie takie, jakie sobie zbudowali, ale wciąż jeszcze trzymając się z daleka od prawników rozwodowych. Russel posiadał dwie polisy ubezpieczeniowe wystawione na żonę, opiewające na około pół miliona dolarów. Nie ulegało więc wątpliwości, że z punktu widzenia aż tak nieszczęśliwej w tym związku kobiety, Russel Douglas przedstawiał większą wartość jako mąż umarły niż żywy.

★ ★ ★

Ustalenie tego faktu zajęło śledczym kilka tygodni, a jednak nie wynikało z tego nic, co mogłoby dawać podstawy do postawienia żonie Russela zarzutu o popełnienie zbrodni. Wyszły na jaw inne niepokojące szczegóły. Brenna prowadziła salon fryzjerski, nieprzynoszący jednak oczekiwanych dochodów i znajdujący się na progu bankructwa. W tej sytuacji pół miliona dolarów z polis ubezpieczeniowych po mężu mogłoby zadziałać na zasadzie manny z nieba.

Śledczy nie do końca uwierzyli również w miążdząco negatywną opinię, jaką żona denata wystawiła mężowi na wieść o jego niespodziewanym zgonie. Już na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że szczupły i niewysoki Russel nie miał żadnych szans w rzekomych fizycznych starciach z wysoką i mocno zbudowaną żoną, przewyższającą go masą ciała, co najmniej dwukrotnie. Ustalenie to potwierdzili świadkowie z najbliższego otoczenia skonfliktowanej pary. Według zebranych od nich opinii,

Russel był mężczyzną pracowitym, z natury cichym i spokojnym, wcale nieskorym do kłótni, a tym bardziej do konfrontacji siłowej z kobietą wybraną na partnerkę na całe życie, żoną i matką jego dwojga dzieci.

– Ani jedna z wielu przesłuchanych osób nie powiedziała o denacie złego słowa – stwierdził detektyw Mark Plumberg. – Wszyscy zeznający byli zdumieni, że Russel padł ofiarą zbrodni, zaplanowanej i przeprowadzonej w profesjonalny sposób.

Świadkowie powstrzymali się od opinii na temat jego żony. Ujawnione przez nią w noc morderstwa agresywne cechy charakteru dawały wiele do myślenia. A jednak pod koniec pierwszego roku śledztwa nie znaleziono, oprócz słabych poszlak, ani jednego dowodu wiążącego ją z morderstwem.

Brenna Douglas pobrała więc odszkodowanie za śmierć męża z kompanii ubezpieczeniowej. Z osoby na skraj bankructwa została osobą zamożną.

Mistrzini przeobrażeń

Wiosną 2004 roku uwaga detektywa Plumberga skupiła się na kobiecie już od wielu lat niezamieszanej w lokalne życie Whidbey Island. Ślad prowadził do Las Vegas w stanie Nevada. Dokumentacja firmy zajmującej się telefonami komórkowymi potwierdziła, że była mieszkanka wyspy telefonowała wielokrotnie do Russela na kilka dni przed jego śmiercią, choć nigdy wcześniej nie wykazywała zainteresowania osobą przyszłego denata. Więc skąd raptem te liczne połączenia, z odległego stanu, na małą wyspę?

Czy Peggy Sue Thomas, jedna z najpiękniejszych kobiet stanu Waszyngton, byłaby w stanie zbrukać swą reputację choćby cieniem podejrzeń o zbrodnię?

Urodziła się i wychowała na Whidbey Island, w wielodzietnej rodzinie oficera marynarki wojennej i policjantki. Gdy telewizja pokazuje dziś jej zdjęcia z okresu dzieciństwa i wieku panieńskiego, nie widać nawet cienia zapowiedzi, że z tego przeciętnego, na pierwszy rzut oka, dziewczęcia wyrośnie kobieta fatalna, zdobywczyni nie tylko sławy osiągniętej w stanowym konkursie piękności, ale również miejsca w celi stanowego więzienia.

Opowiadając o jej niewiarygodnych perypetiach, reporterzy gazet i telewizji jednogłośnie przyznają, że Peggy Sue mogłaby się stać niemal plakatowym symbolem niezależnej i wyzwolonej Amerykanki. Dobiegająca dziś pięćdziesiątki, nie straciła nic z wizerunku klasycznej Barbie w tej kategorii wiekowej (sylwetka, imponujący biust, słodka buzia, wielkie rozmarzone oczy...), zyskała natomiast reputację kobiety o wyjątkowej sile przebicia, osiągającej wszystko to, co tylko pojawiało się w zasięgu jej marzeń.

Z biegiem lat Peggy Sue stała się więc mistrzynią nagłych i wyjątkowo skutecznych przeobrażeń, które niezmiennie dawały jej powód do dumy. Zmieniała się zawsze na lepsze, w dążeniu do osiągnięcia

doskonałości. Jak twierdzi w wieku dojrzałym, by potwierdzić swe wartości, zawsze przedzierała się przez trudny męski świat, stale w drodze do sukcesu. Wykazywała niesamowitą siłę przebicia. Sięgała coraz wyżej, za każdym razem ze skutkiem godnym podziwu.

Jedną spośród jej rozlicznych prób poszukiwania oryginalnego, a zarazem dobrze płatnego miejsca w życiu, było zaciągnięcie się do armii. W czasie kilkuletniej służby, Peggy Sue zdobyła uprawnień mechanika obsługi maszyn bojowych i wzięła udział w pierwszej wojnie irackiej, znanej jako Operacja Pustynna Burza. Zdjęcia z tamtych lat pokazują tę kobietę rozlicznych talentów krzątającą się przy konserwacji odrzutowców bojowych. Zwraca uwagę nie tylko jej piękna twarz, ale dziś już całkiem nieobecna wyjątkowo korpulentna sylwetka.

Wkrótce po powrocie z wojny, a pod koniec drugiego małżeństwa, Peggy Sue rzuciła wyzwanie swej nadwadze i wygrała walkę z oszalamiającymi rezultatami. Wytrwałe stosowanie diety i ostry reżim ćwiczeń na siłowni spowodowały, że pulchna grubaska przeistoczyła się w wysoką i smukłą królową piękności. Świadoma i dumna z posiadanych warunków, postanowiła wykorzystać je do kolejnej próby wybicia się ponad przeciętność. W 2000 roku wzięła udział w konkursie piękności stanu Waszyngton i zdobyła koronę najpiękniejszej.

Kryształowo czysta

Teraz mogła już próbować kolejnych wyzwań, z wyraźnie zarysowanym celem zdobycia wielkich pieniędzy. Piękna i utytułowana, wybrała miejsce na mapie ogromnego kraju słynące z blichtru, stałego przepływu lawiny dolarów i z obecności mężczyzn nieprzeciętnie zamożnych. W 2003 roku Peggy Sue znalazła pracę w Las Vegas w stanie Nevada, jako kierowca limuzyny wożącej bogatych i rozrzutnych hazardzistów. Wysoka, długonoga piękność, w minispódniczce, frakowej kurtce i białej koszuli z muszką, noc w noc zgarniała tysiące dolarów, w samych tylko napiwkach.

– Rozpieszczałam moich klientów, a oni umieli to docenić. Było to najwspanialsze zajęcie w moim życiu – wspominała później, gdy jej głównym zajęciem było już tylko zmaganie się z oskarżeniem o zbrodnię.

Naturalną konsekwencją nocnej pracy wśród zamożnych mężczyzn mogło być dla niej wypatrzenie, osaczenie, a następnie poślubienie jednego z nich. Pewnej gorącej nocy, z jej limuzyny skorzystał Mark Allen, niewysoki, noszący się jak kowboj miliarder naftowy i właściciel hodowli koni arabskich. Krótka znajomość, jak można było oczekiwać, doprowadziła do małżeństwa, również krótkiego, bo trwającego zaledwie siedem miesięcy.

Mark Allen nie ukrywał, że w Peggy Sue zakochany był po uszy. Jednak nie znośił, gdy kobieta próbuje wykazać nad nim swą wyższość, więc po pierwszych symptomach tej przypadłości ujawnio-



nej przez kolejną żonę, natychmiast zatrudnił prawników rozwodowych. Peggy Sue wtrącała się do wszystkiego; próbowała szarogęsić się na jego rancho i zaprowadzać tam swoje porządki. W rezultacie ugody rozwodowej dostała 700 tysięcy dolarów (sto tysięcy za każdy miesiąc małżeństwa) oraz pływający dom na jeziorze, oceniany na 300 tysięcy.

Peggy Sue niejednokrotnie słyszała od różnych ludzi pytanie: – Czy wyszłaś za niego dla pieniędzy? Powiedz, ale tak uczciwie?

– Nie. Wyszłam za Marka, bo kochałam go głęboko, z całego serca...

Taka była już jej natura. Peggy Sue nigdy nie przyznawała się do swych słabości lub wad. Zawsze była kryształowo czysta, a gdy pytania natury kłopotliwej, zadawane również podczas śledztwa w sprawie zbrodni sugerowały jej winę, wyczarowywała na urzekająco pięknej twarzy słodką minę urażonej cnoty i cichym głosem smutnie zaprzeczała.

Jej odpowiedź na ewentualne zarzuty zawsze brzmiała: „Nie! Nie, to nie ja!”.

Nie, nie wyszła za miliardera dla jego pieniędzy. Nie, nie brała udziału w planowaniu zbrodni na mężczyźnie z Whidbey Island...

Cenny donos

Siedem miesięcy po zabójstwie Russela Douglasa niespodziewany telefon z miasta Punta Gorda na Florydzie, naprowadził śledz-

two na zupełnie nowe tory. Dzwonił Bill Hill, dobiegający sześćdziesiątki gitarzysta basowy z popularnego w miejscowych barach zespołu. Detektyw Mark Plumberg z początku nie dowierzał, gdy mężczyzna relacjonował ze szczegółami wszystko, co wiedział o zbrodni na odległej od Florydy wyspie.

Bill Hill odczekał z tym donosem ponad pół roku, bo targwały nim sprzeczne uczucia związane z lojalnością wobec kolegi z zespołu. Sprawa dotyczyła jednak zbrodni popełnionej na niewinnym człowieku, więc bezdyskusyjna wyższa konieczność zmusiła muzyka, po długiej walce wewnętrznej, do pomocy w śledztwie.

Sprawcą zbrodni na wyspie był Jim Huden, pięćdziesięciolatek grający we wspomnianym zespole na gitarze prowadzącej, a zarazem wokalista. Słynął też z przesadnej gadatliwości, a chęć wyświadczania się z niecnego postępu przed przyjacielem otworzyła istny worek z brudami, obciążającymi Jima i dwie kobiety. Jedną z nich była Brenna Douglas, żona denata, lecz dotyczące jej poszlaki okazały się jak dotychczas wyjątkowo wątpliwe. Drugą okazała się Peggy Sue Thomas, a w jej przypadku śledczy zdobyli obszerny materiał świadczący o winie, zaś prokurator znalazł podstawę do postawienia zarzutów.

Jim Huden wygadał się przyjacielowi ze wszystkiego już w styczniu 2004 roku, a więc miesiąc po zbrodni. Jego monolog, bo przerażony Bill Hill słuchał go w osłupieniu, nie przerywając, miał miejsce

w samochodzie, w drodze na kolejny występ. Jim zaczął od przykrych wspomnień. W dzieciństwie przeżył katogę poniżającego znęcania się ze strony ojczyrna, co pozostawiło w nim urazy psychiczne aż tak silne, że postanowił wziąć rewanż na kimkolwiek, kto poniża fizycznie innego, znacznie słabszego człowieka. Okazja nadarzyła się właśnie niedawno. Dowiedział się o takim przypadku, zebrał wszystkie dane o mężczyźnie znęcającym się nad żoną i wydał na niego wyrok śmierci, następnie wykonany, ze znaczną pomocą bliskiej mu kobiety.

Była nią Peggy Sue Thomas. W okresie zamieszkiwania na Whidbey Island chodziła do szkoły i przyjaźniła się z Brenną. I choć później nie utrzymywały bliższych kontaktów, podczas jednej z wizyt na wyspie dawna koleżanka zwierzyła się z nieudanego małżeństwa, winą obciążając Russela, rzekomego męża-okrutnika.

W trójkącie

Jim Huden również urodził się i wychował na wyspie. Z Peggy Sue łączyła go szkolna miłość, niespełniona z powodu wyjazdu ich obojga w różne części kraju. Spotkali się ponownie dopiero w czerwcu 2002 roku, na pogrzebie jednego z rówieśników. Oboje już po czterdziestce, niby odpowiedzialni, ale do życia nastawieni wyjątkowo konsumpcyjnie, podjęli temat zaniedbywany od szkolnych czasów.

Peggy Sue zwierzyła mu się z wielkiego do niego uczucia. Była kobietą wolną, obracała się wśród całej masy wielbicieli w Las Vegas, więc ta miłość nie wiązała się z żadnymi komplikacjami. Natomiast Jim był żonaty; musiał się liczyć z konsekwencjami drugiego życia i całej konspiracji, wiążącej się z podejmowanymi teraz często wyjazdami na wezwanie Peggy Sue. Las Vegas stało się jego drugim domem. Zonie tłumaczył, że ciągnie go tam z powodów profesjonalnych, bo jako muzyk i wokalista chce wypłynąć na szersze wody, ale ona już od dawna domyślała się prawdziwej przyczyny jego rozjazdów.

– Jim zmienił się już od tamtej podróży na wyspę, z powodu pogrzebu – zeznała Jean Huden. – Przystał być tym samym czułym mężem. Wpadał w zmienne nastroje, miewał przyływy ciężkiej depresji, a także okresy długotrwałego pijaństwa i zażywania narkotyków...

Jim zwierzył się swemu przyjacielowi z zespołu, że w tych warunkach dał się łatwo manipulować. Peggy Sue zdobyła nad nim całkowitą władzę. Rozmiękczony wielkim uczuciem, alkoholem i narkotykami, stał się łatwym łupem. Bez wahania przyjął zlecenie na nieznanego mu mężczyznę z Whidbey Island. Wystarczyło, że Peggy Sue powiedziała mu o konieczności zlikwidowania okrutnego męża, który maltretuje jej przyjaciółkę. Postarał się o rewolwer i wyruszył na wyspę. Peggy Sue zabiła Russela w ciemny zakątek pod pretekstem dania mu prezentu świątecznego dla Brenny. Jim pojechał na spo-

tkanie zamiast niej. Strzelając Russelowi w głowę, podobno mścił się za upokorzenia z dzieciństwa, choć trudno nimi uzasadniać zabicie człowieka.

Czas na pytania

Po donosie gitarzysty basowego śledztwo nabrało rozmachu. Zanościło się na szybkie aresztowanie sprawcy, skłonienie go do przyznania się do zbrodni, a następnie na postawienie zarzutów dwóm współodpowiedzialnym kobietom.

Tak to wyglądało w teorii. Jednak praktyczne spełnienie tych oczekiwań jak zwykle wiązało się z niespodziewanymi komplikacjami.

4 sierpnia 2004 roku dwie ekipy detektywów wyruszyły do Punta Gorda i do Las Vegas. Detektyw Plumberg był w pierwszej z nich. Złożył niezapowiedzianą wizytę podejrzanemu. Popatrzył mu w oczy i powiedział: – Panie Huden, doskonale wiem, że to pan jest człowiekiem, który pociągnął za spust i zastrzelił Russela Douglasa!

Ponieważ Huden od razu stanowczo zaprzeczył, kilka godzin później nastąpiło formalne przesłuchanie na komisariacie policji. Podejrzany wysłuchał cierpliwie zarzutów, po czym odpowiedział w stylu dla siebie właściwym: – Jestem bez wątplenia sukinsynem, ale nie mordercą!

W tym samym czasie inna grupa śledczych zaskoczyła Peggy Sue Thomas w jej mieszkaniu w Las Vegas.

– Znalazłam się w rozpaczliwym położeniu – skarżyła się później reporterce telewizyjnej. – Trzech policjantów z bronią w ręku potraktowało mnie jak przestępcę. Wrzeczeli, aby mnie nastraszyć, założyli mi kajdanki, a następnie przeszukali mieszkanie, dokładnie przeglądając zawartość komputera, kasety wideo oraz albumy fotograficzne. Potem próbowali nakłonić mnie do przyznania się do współudziału w zbrodni.

– Twój kochanek zastrzelił człowieka, choć go nie znał i nic go z nim nie łączyło. Natomiast ty go znałaś i byłaś bliską przyjaciółką jego żony... Jak to wytłumaczysz? – pytali policjanci.

Peggy Sue stanowczo zaprzeczyła, jakoby miała cokolwiek wspólnego z wykonaniem zlecenia na Russela. – Jestem całkowicie pewna, że Jim i Russel rzeczywiście nigdy się nie znali – tłumaczyła podczas zeznania. – Nie potrafię jednak wytłumaczyć, co doprowadziło do tak dziwnego zbiegu okoliczności. Ja w każdym razie nigdy nie namawiałam Jima do aż tak desperackiego czynu...

Jim Huden również nie zamierzał się poddać. Z oczywistych powodów nie mógł wiedzieć, że w tym samym czasie policja przesłuchuje Peggy Sue. Okazał kamienną twarz, gdy śledczy próbowali złamać jego lojalność wobec niej.

– Pan tego nie wymyślił, to przyszło od innej osoby – przekonywał detektyw Plumberg. – Panu nie mógł przyjść do głowy szalony pomysł zamachu na męża Brenny Douglas. Ktoś inny wykorzystał pana słabości, uczynił z pana ofiarę...



Po tych słowach Jim Huden zerwał się z miejsca i zażądał obecności adwokata.

W otwarte karty

Jednak na tym etapie śledztwa brakowało mocnych dowodów, umożliwiających postawienie Jima i Peggy Sue w stan oskarżenia. Oboje pozostali na wolności. Pozostawiono również w spokoju żonę denata, obciążoną zaledwie wątpliwymi poszlakami.

Niełatwe mieli teraz życie ludzie czyści jak łaźnia, zamotani w sprawę zupełnie pośrednio. Pierwszą z tych osób był donosiciel Bill Hill, jak na razie główny świadek, cierpiący na beczynność po rozpadnięciu się zespołu. Dwaj byli przyjaciele-gitarzyści trzęśli się ze strachu i nie byli w stanie utrzymać instrumentów w rękę. Huden lęk przed aresztowaniem próbował zwalczyć alkoholem i narkotykami. Hill od miesięcy nie zaznał spokojnego snu, obawiając się zemsty byłego przyjaciela. – Wegetowałem na kanapie z rewolwerem pod ręką. Nie przynosiło to jednak ulgi – zwierzył się wkrótce po zakończeniu sprawy.

Drugą osobą wystawioną na cierpienia była Jean Huden, żona podejrzanego. Jej życie w nieustannym strachu było wynikiem gadatliwości męża. Podczas jednej z pijackich nocy uczynił ją powiernicą prawdy o swym haniebnym czynie, wyznając przed nią wszystko o spisku na życie Russela, o dwóch planujących zbrodnię kobietach i o sobie, w roli mordercy. Od tej spowiedzi Jean zmagająca się z nieoczekiwanym ciężarem. Wiedziała wszystko, a nie mogła zrzucić kłopotu ze swego sumienia,

choć kilka razy wychodziła z domu, by pojechać na komisariat.

W tym stanie trwała wyjątkowo długo, pocieszając się bzdurną nadzieją, że obciążająca ich dwoje tajemnica pozwoli odzyskać niewiernego męża i naprawić rozsypujące się małżeństwo. Jednak Jim nie nadawał się już do niczego. Załamany, rozpity i znarkotyzowany czekał aż przyjadą, założą mu kajdanki i postawią przed sądem.

Ten moment zbliżał się już szybko i nieuchronnie. Śledczy postanowili wreszcie nadać sprawie rozgłos i ujawnili dziennikarzom dane dwojga głównych podejrzanych o zaplanowanie i przeprowadzenie zbrodni na wyspie. W artykułach i dziennikach telewizyjnych wymieniano przez kilka dni Jima Hudena i Peggy Sue Thomas, zdradzając również fakt, że policja liczy na znalezienie rewolweru, z którego zastrzelono ofiarę. Nadzieje na odszukanie narzędzia zbrodni były jednak nikłe.

– Obawiałem się, że od tamtej grudniowej nocy rewolwer leży zagrzebany w mule zatoki Puget Sound, więc nikt go już nigdy nie znajdzie – stwierdził detektyw Plumberg.

Jakież więc było jego zdziwienie, gdy zaledwie tydzień po publikacjach w prasie i telewizji odezwali się policjanci z Nowego Meksyku z rewelacyjną wiadomością: mają ten rewolwer! Dalsze jego losy po zastrzeleniu z niego Russela Douglasa jeszcze bardziej obciążały Jima i Peggy. Rewolwer typu Bersa, kaliber .380, Jim Huden dał w podarunku przyjacielowi, a stało się to w domu Peggy Sue w Las Vegas. Gdy ów przyjaciel dowiedział się, że stał się posiadaczem narzędzia zbrodni, bezzwłocznie przekazał je policji, deklarując gotowość złożenia zeznań.

Pryska lojalność

Wyposażony w nowy materiał dowodowy detektyw Plumberg wyruszył znowu w podróż, licząc na zdobycie ważnego świadka, gotowego obciążyć Jima Hudena, a zarazem na zadanie ciosu w lojalność dwojga kochanków. Osiągnął to, co chciał. Na widok fotografii narzędzia zbrodni, Peggy Sue okazała mocne zdenerwowanie, zaprzeczyła jakoby kiedykolwiek widziała ten rewolwer, ale zdradziła również chęć do zeznań, w tak sprytny sposób, aby – choć nie całkiem bezpośrednio – obciążyć Jima.

Przyznała więc, że kilka dni przed śmiercią Russela oboje przybyli na wyspę, a w feralnym dniu, w czasie kiedy dokonano morderstwa, Jima przy niej nie było, bo wyszedł z zamiarem kupienia papierosów. Gdy wrócił znacznie później niż powinien, zachowywał się całkiem normalnie. Nic nie wskazywało na to, że zastrzelił człowieka. Ale skoro nawet postąpił w tak nieludzki sposób, ona nie miała z tym nic wspólnego.

W kolejnym zeznaniu Peggy Sue opisała, jak zachował się Jim, gdy zaraz po wizycie detektywa zatelefonowała do niego na Florydę z ostrzeżeniem.

– Mają twój rewolwer, a testy balistyczne potwierdziły, że to z niego strzelano do Russela. Jak to wytłumaczysz?

Podobno Jim się wtedy załamał i wszystko jej wyznał. Opowiedział, jak zabił Russela, a potem zaczął ją przeproszać. – Musisz mi wybaczyć, że ciebie w to wszystko zaplątałem – popłakiwał przez telefon. – Teraz znikam z twego życia. Już mnie nigdy nie zobaczysz...

Brzmiało to zbyt melodramatycznie, aby było prawdziwe. Tak zeznania Peggy Sue Thomas ocenili śledczy. Kobieta wyspecjalizowana od lat w manipulowaniu uczuciami mężczyzn i tym razem liczyła na ich względy i bezkarne wyplątanie się z kłopotów.

Nie potrafiła jednak kontrolować się konsekwentnie i do końca. Wkrótce po zrzuceniu odpowiedzialności na Jima piła w barze z przyjaciółką z lat dzieciństwa i pod wpływem alkoholu wyznała, że niedawno pomogła innej przyjaciółce „pozbyć się kłopotu”.

– Gdyby trzeba było zrobić to jeszcze raz, rewolwer wyrzuciłoby się po prostu do wody... – wyszeptwała tajemniczo Peggy Sue.

Przyjaciółka wiedziała z gazet i telewizji, o jakim „kłopotcie” mówi Peggy Sue. Po krótkim namyśle wykonała donos na policję, dodając jeszcze jedną poszlakę przemawiającą na niekorzyść wiecznie niewinnej piękności.

Nie ma ucieczki

Sprawiedliwość znów jednak musiała okazać się nierychliwa, bo zniknął główny podejrzany. Przepadł bez wieści akurat wtedy, gdy nad Florydą szalał huragan Charlie, jakby chciał

zasugerować swym prześladowcom, że padł ofiarą kataklizmu.

Tymczasem Jim Huden miał się w najlepsze. Odbudował swe życie w meksykańskim kurorcie Vera Cruz, dokąd uciekł za radą żony.

– Po telefonie Peggy Sue z wiadomością o znalezieniu rewolweru, Jim postradał zmysły i groził samobójstwem – zeznała Jean Huden. – Powiedziałam, że mam lepszy pomysł. Jim, uciekaj! To jeszcze nie koniec. Musisz znaleźć drugą szansę w życiu!

Jim wreszcie zaufał niedocenianej żonie. Podjął przerwana karierę gitarzysty prowadzącego i wokalisty. Jako Jim Martin zdobył uznanie kolegów z zespołu i widzów w klubach jazzowych w meksykańskich kurortach. Tylko Jean wiedziała o jego miejscu pobytu i czasem przyjeżdżała do niego w odwiedziny, upewniając się, że nie ma za sobą ogona w postaci amerykańskich agentów.

Życie Jima Hudena, toczone w szczęśliwym dostatku w odległości dwu tysięcy mil od powoli zapomnianych kłopotów, trwałoby zapewne w nieskończoność, gdyby nie narkomania żony. Samotność i napięcia spowodowane wieloletnią konspiracją popchnęły ją w uzależnienie. Konieczność zdobycia pieniędzy na kokainę zmusiła ją do oszustw i kradzieży. Wiosną 2011 roku groził jej wyrok wielu lat więzienia. Dla ratowania własnej skóry, zamieniła tę groźbę na informację o miejscu ukrywania się Jima.

– Postąpiłam tak po zaledwie krótkim wahaniu – wyznała w jednym z wywiadów. – On przecież wtrącił mnie w to piekło. Wybaczyłam mu niewierność, ale potem poniosłam ciężkie koszty ratowania mu skóry. W końcu i on musiał zapłacić za swoje błędy.

Późne rozliczenie

Sprawcy śmierci niewinnego mężczyzny z Whidbey Island zostali rozliczeni przed sądem dopiero dziewięć lat po tragedii. Proces Jima Hudena odbył się w sierpniu 2012 roku i trwał zaledwie osiem dni. Po zeznaniach dwudziestu świadków został skazany na 80 lat więzienia.

Pod koniec stycznia 2013 roku przed sądem stanęła Peggy Sue Thomas. Oskarżenie w jej sprawie miało się oprzeć głównie na poszlakach oraz zeznaniach Jean Hudena, świadka mało wiarygodnego ze względu na uzależnienie od kokainy i brak obiektywnego odniesienia do kochanki męża. Biorąc pod uwagę te komplikacje, prokurator zaproponował ugodę. W zamian za przyznanie się do udziału w spisku na życie Russela Douglasa, otrzymała wyrok zaledwie czterech lat więzienia, przyjmując jednak takie rozwiązanie z urażoną miną osoby o kryształowym charakterze, zawsze niewinnej.

Z wolności wciąż korzysta Brenna Douglas, żona ofiary. Nie znaleziono mocnych dowodów na jej udział w planowaniu śmierci męża, jednak śledczy nie zamknęli dochodzenia w jej sprawie. ■

Tadeusz Wójciak

TYCER

dokończenie ze str. 53.

podejrzanego. W międzyczasie dowiedział się, że kasjerkom nie wolno mieć przy sobie telefonów komórkowych ani innych urządzeń oprócz tych, w jakie wyposażone jest stanowisko kasowe.

★ ★ ★

Gdy kasjerka znalazła się w pokoju szefa zmiany, był tam także policjant. Nadkomisarz Bogdan K., działając z zaskoczenia, zażądał od niej, aby oddała mu sygnalizator. Błada ze strachu kobieta wyjęła z kieszeni przedmiot przypominający tzw. pilota od samochodowego alarmu i... po chwili wahania, próbowała włożyć go sobie do ust, chyba z zamiarem połknięcia. Policjant był szybszy, sprawnie wykręcił jej rękę i wyjął z niej przedmiot. Kasjerka została przewieziona do komendy, gdzie trafili też już wcześniej zatrzymani mężczyźni.

Policjanci mieli, co prawda, w rękach mocne dowody ich działalności, ale postarali się także, aby uzupełnili to swoimi zeznaniami. Najpierw solidnie popracowano nad Wiolettą C., która zgodnie z przewidywaniami szybko „pękła”. Zeznała, że pomysłodawcą był Konrad D., kolega mieszkającego z nią konkubenta Andrzeja C., który widząc ich problemy finansowe wszystko zaplanował i przygotował. On też z samochodowego alarmu kupionego w sklepie skonstruował urządzenie, przy pomocy którego ona dawała znak, gdy z banku wychodził ktoś, kto pobrał z kasy większą gotówkę. Andrzej C. potwierdził jej zeznania. Tak jak ona, zeznał też, że po pierwszym udanym napadzie chcieli wycofać się, zwłaszcza że podział łupów po połowie dla nich i połowę dla Konrada D. nie odpowiadał im. Obawiali się jednak Konrada D., więc brnęli w tę sytuację dalej.

Konrad D. natomiast spokojnie zeznał, że został przez tę parę namówiony do tego przestępstwa, a jako ukrywający się potrzebował gotówki, więc zgodził się im pomóc przy tej „robocie”.

Tych wersji cała trójka trzymała się także podczas zeznań przed sądem, który Konrada D. skazał na 5 lat pozbawienia wolności, Andrzeja C. na 3 lata, a Wiolettę C. również na 3 lata, uznając jej współudział w tych kradzieżach z użyciem przemocy za szczególnie naganny. Otrzymała też zakaz wykonywania zawodu kasjerki przez 5 lat.

Policjantom pracującym przy tej sprawie, pomimo wysiłków, nie udało się wyjaśnić dwóch jej elementów. Pierwszym z nich była tożsamość osoby, która poinformowała ich telefonicznie o swoich podejrzeniach wobec Wioletty C. Przypuszczają, że był to któryś z pracowników banku, ale nie udało się go zidentyfikować. Drugim zagadnieniem był



trzeci rozbój, jakiego dokonała ta grupa, jeszcze przed napadem na Barbarę M. w lipcu 2012 roku. Wszyscy troje opisali dokładnie to zdarzenie, więc nie było wątpliwości, że na pewno miało miejsce.

Ukradli wówczas jakiemuś mężczyźnie 11 tysięcy zł i pomimo że dokładnie zeznali jak to się odbyło, nie ustalono aby według danych ujawnionych przez bank, ktoś pobierał taką kwotę w tym dniu. Ponieważ przypuszczano, że kwota mogła być większa, a mężczyzna rozłożył ją na części po kieszeniach, przesłuchano 22 osoby, które pobierały różne kwoty w przybliżonym terminie. Nic to nie dało.

Dopiero po wielu miesiącach pojawiła się informacja, że jedna z kobiet przesłuchiwanym wówczas nie zeznała prawdy. Była szantażowana i przekazała 20 tys. zł szantażyście, który po wyjściu z banku został napadnięty. Ani on, ani szantażowana kobieta nie byli zainteresowani ujawnianiem tej sytuacji.

Policjanci i tak uznali zatrzymanie tych przestępców za swój duży sukces. Ten sukces należy przypisać przede wszystkim nadkomisarzowi Bogdanowi K. i jego intuicji. Nie zgodził się jednak na ujawnienie swojego nazwiska. Władze banku od siebie podziękowały mu za zaangażowanie przy tej wstydlivej dla tej instytucji sprawie. ■

Dariusz Gizak

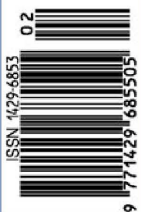
Niektóre okoliczności zdarzeń oraz personalia osób zostały zmienione.

WYDANIE SPECJALNE

DETEKTYW



NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI



INDEKS 34222X

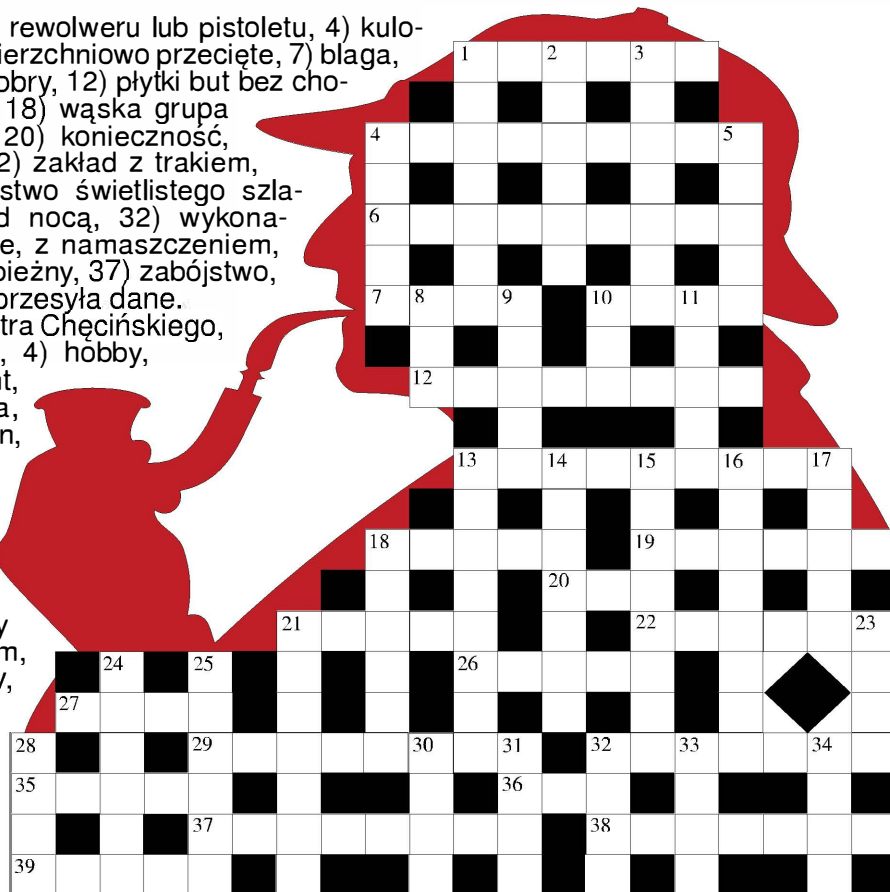
CENA 3,90 zł
(w tym 8% VAT)

W KIOSKACH OD 9 CZERWCA

POZIOMO: 1) skórzany futerał do rewolweru lub pistoletu, 4) kuloodporne wdzianko, 6) miejsce powierzchniowo przecięte, 7) błaga, nieprawda, 10) budowana przez bobry, 12) płytki but bez cholewek, 13) jednośląd z silnikiem, 18) wąska grupa wyznawców, 19) działa na nos, 20) konieczność, potrzeba, obowiązek, 21) fałsz, 22) zakład z trakiem, 26) specjalny jadłospis, 27) państwo świetlistego szlaku, 29) forma pożegnania przed nocą, 32) wykonanie czegoś szczególnie uroczyście, z namaszczeniem, 35) widziadła, 36) zbieżny lub rozbieżny, 37) zabójstwo, 38) paragraf, rozdział, ustęp, 39) przesyła dane.

PIONOWO: 1) „Sami swoi” Sylwestra Chęcińskiego, 2) wielka ilość, 3) sprawozdanie, 4) hobby, ulubione zajęcie, 5) oszustwo, kant, szwindel, 8) zdobycz wojenna, 9) braki w kasie, 10) drugi plan, 11) owcze na oscypki, 13) bagno, trzęsawisko, 14) sportowy but, 15) rozwidlenie dróg, 16) pomoc materialna, 17) często po stronie silniejszego, 18) gang, banda, 21) patronka górników, 23) wymierzana, 24) bity przez biegacza, 25) naturyzm, 28) do robienia wokół sprawy, 30) ukochana Dyzmy, 31) tlenek węgla, gaz trujący, 32) najlepszy lekarz, 33) rzeka Zapomnienia w Hadesie, 34) koszykarski „strzał”.

(rozwiązanie w numerze)



Wydanie Specjalne nr 2/2015

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

- **ZABÓJCZY KOCHANEK** – Roman Polkowski – patologiczny, seryjny zabójca, który rozkochiwał w sobie kobiety, a potem je mordował. Czy rzeczywiście tak było? A może stał się ofiarą wymiaru sprawiedliwości?
- **DRUGIE ŻYCIE** – Białaczka zdiagnozowana u młodszego synka zamieniła jego życie w piekło. Stracił żonę, dziecko i stoczył się na dno. Dzięki przypadkowi rozpoczął heroiczną walkę o odzyskanie drugiego syna.
- **WYSTRZAŁOWA ŻONA** – Po rozwodzie Fred rozpoczął nowe życie u boku byłej studentki. Były dzieci, kariera, a po kilku latach rozwód i wojna o alimenty i prawo do opieki nad potomstwem.
- **SŁABA PŁEĆ** – Komu miałby powiedzieć, że boi się własnej żony, że czuje się wrakiem człowieka? Znanych już nie miał. Rodzinie? Policji?

W wyobraźni widział jedynie twarze wyrażające pogardę i politowanie...

- **PRYWATNY HAREM** – Leżała na wystużonym materacu ułożonym na porzucanym, żelaznym łóżku. Jej okrycie stanowił stary, zniszczony koc. Pod nim była naga.
- **TROSKLIWA OPIEKUNKA** – Anna Maria Hahn zjednała sobie względy czterech emerytów, aby po jakimś czasie zafundować im śmierć w konwulsjach i męczarniach.
- **TEST NA MIŁOŚĆ** – Związek nabierał rumieńców, kochankowie, od czasu do czasu, zaczęli wspólnie spędzać weekendy. Oczywiście na tyle, na ile Wojtek mógł oszukać żonę...
- **ERSATZ** – Ich drogi skrzyżowały się tylko raz w ciemną, styczniową noc 2005 roku. Spotkali się na pokrytej śniegiem ulicy przed Dworcem Głównym w Monachium, ale dramat rozegrał się w zupełnie innym miejscu...

- **CASANOVA Z INTERNETU** – Coraz częściej ludzie za pośrednictwem internetu szukają swojej drugiej połówki. Wirtualne romanse nie zawsze jednak kończą się na ślubnym kobiercu.
- **SPRAWCA SAMOBÓJSTWA** – Zwioki 40-letniej Jolanty R., po jej upadku z okna na szóstym piętrze, przeleżały około godziny, nim do komendy zgłoszono jej śmierć. Zgłoszenia dokonał jej mąż.
- **KOBIETA ROZPUSTNIKA** – Nie dobiło go ani bankructwo, ani finansowa niefrasobliwość rodziców. Zniszczyła go kobieta, którą nierozważnie wybrał sobie za żonę.

**WYDANIE SPECJALNE
„DETEKTYWA” NR 2/2015
PT. „NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI”
DO KUPIENIA
OD 9 CZERWCA 2015 R.**

ZAGADKA
KRYMINALNA

LOGIKA FAKTÓW



Niejaka Dorothy Grant jest przesłuchiwana przez komisarza Hamiltona, w związku z tragiczną śmiercią jej męża Davida. – Oprócz mnie i męża nikt w tym domu nie mieszka. Nie mam pojęcia, kto i dlaczego go zastrzelił...



– Na odgłos strzału natychmiast przybiegłam z kuchni do gabinetu Davida – relacjonuje komisarzowi małżonka zamordowanego. – W tej samej chwili usłyszałam odgłos kroków biegnącego mężczyzny. Trzasnęły drzwi w korytarzu prowadzące na ulicę i usłyszałam jeszcze, jak biegnie po chodniku. Mój mąż leżał na podłodze gabinetu bez oznak życia...



Wyskoczyłam na korytarz. Na podłodze tuż koło drzwi wejściowych do domu zobaczyłam porzucony przez zabójcę pistolet. Wolałam go nie dotykać! Wróciłam do gabinetu męża i wtedy od strony ulicy dobiegł mnie głośny warkot silnika i pisk opon ruszającego gwałtownie auta. Natychmiast zadzwoeniłam na policję. To wszystko, co mam do powiedzenia...



– Ja również mam pani coś do powiedzenia – powiedział ostro komisarz. – Wszystko co pani tu zeznała to ordynarne kłamstwo! Aresztuję panią pod zarzutem zabójstwa małżonka! Od tej chwili wszystko co pani powie, może być wykorzystane przeciwko pani!

DLACZEGO KOMISARZ NIE UWIERZYŁ KOBIECIE?
(rozwiązanie w numerze)